



# Przystanek Dolny Śląsk

kwartalnik 2(27)/2020 lato • ISSN 2353-3056



**SZCZAWNO-ZDRÓJ • WROCŁAW • ZIEMIA KŁODZKA • ŚNIEŻKA  
SOSNÓWKA • WAŁBRZYCH • KARPACZ GÓRNY • GÓRY KACZAWSKIE  
KOPALNIA KAŁAWSK • KARKONOSZE • GOLA DZIERŻONIOWSKA  
LUBAŃ • SZKLARSKA PORĘBA • UZDROWISKO SZCZAWNO-JEDLINA**



## Wojciech Głodek

### **NAJPOPULARNIEJSZY ZE ŚLĄSKICH ZDROJÓW**

Dziewiętnasty wiek to okres niesłabnącej popularności śląskich zdrojów. Pretendentów do miana uzdrowiska było na Dolnym Śląsku kilkudziesięciu, jednak tylko niektórym udało się przekształcić w modne kurorty. Jednym z nich było Szczawno-Zdrój. (str.9)



## Karolina Matuszewicz-Górniak

### **DOMY WCZASOWE FWP W KARKONOSZACH**

Fundusz Wczasów Pracowniczych, który w czasach Polski Ludowej organizował wypoczynek dla Polaków, najczęściej ośrodków posiadał na tzw. „Ziemiach Odzyskanych”, w Szklarskiej Porębie, Karpaczu, Świeradowie-Zdroju i okolicznych wioskach. (str.83)



## Agnieszka Latocha

### **ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI**

Zapraszamy na wędrowkę przez wyludnione wsie Sudetów Wschodnich, gdzie nadal w krajobrazie czytelne są ślady przeszłości. Aby je zobaczyć, trzeba tylko zejść z utartych ścieżek, by znaleźć się w innym wymiarze czasu. (str.35)

## **PRZYSTANEK DOLNY ŚLĄSK**

### **KWARTALNIK NR 1(26)/2020 (WIOSNA)**

tytuł zarejestrowany w Sądzie Okręgowym  
we Wrocławiu Rej. Pr. 3208 ISSN 2353-3056

### **WYDAWNICTWO BEZPŁATNE**

adres redakcji  
skrytka pocztowa 2388, 50-131 Wrocław 3  
redakcja@przystanekd.pl

Wydawca, Redakcja i Autorzy dokładają wszelkich starań, aby ustalić dysponentów praw autorskich publikowanych materiałów. Osoby, które mogły zostać pominięte proszone są o kontakt z Redakcją.

redaktor naczelny  
Wojciech Głodek

współpraca  
Iwona Błach, Joanna Dolna, Jolanta Kluba

wydawca  
Instytut Dolnośląski

z siedzibą we Wrocławiu  
zarejestrowany 20.03.2014 roku w Sądzie Rejonowym  
dla Wrocławia Fabrycznej  
VI Wydziale Gospodarczym KRS 0000502837  
Regon 022395582 NIP 8982207071

adres wydawcy  
skrytka pocztowa 2388, 50-131 Wrocław  
biuro@instytutdolnoslaski.org



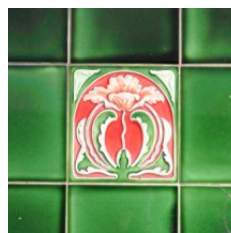
## Maciej Czarnecki SUDECKI MODERNIZM

Baza turystyczna polskich Sudetów to nie tylko przedwojenne wille i drewniane schroniska, ale także cała gama obiektów modernistycznych ze zbrojonego betonu oraz dużych tafli szkła, o przełamujących stereotypy o uniformizacji architektury PRL. (str.69)



## Magda Jarczewska-Bomba SKARBY WCIĄŻ UKRYTE WE WROCŁAWIU

We Wrocławiu poukrywane są skarby. I nie mam na myśli zakopanych słoików i garnków zamurowanych w ścianie, o których krążą sąsiedzkie legendy. Te skarby to secesyjne, ceramiczne kafle w klatkach schodowych kamienic. (str.168)



## Anna Łagowska, Marta Lupa LUBAŃ OZCZAMI PIONIERÓW

W 2006 roku powstał pomysł, by spisać wspomnienia starszych ludzi mieszkających w Lubaniu. Nie w ramach historycznej syntezy, ale w ramach oddawania głosu osobom, które widziały i doświadczyły tego, jak niemiecki Lauban stał się polskim Lubaniem. (str.111)



Redakcja zastrzega prawo adjustacji, skracania i opracowania redakcyjnego nadesłanych materiałów. Redakcja nie zwraca nadesłanych materiałów. Wydawca zastrzega prawo przedruku w innych wydawnictwach współpracujących. Wydawca i Redakcja nie ponoszą odpowiedzialności za treść reklam. Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie niezmodyfikowanego wydania kwartalnika na innych stronach www i nośnikach pod warunkiem zachowania bezpłatnego dostępu do niego.



fot. na okładce: Rafał Kotylak  
Złoty Widok w Szklarskiej Porębie





## **Łukasz Borowczak** **LEŚNA KOPALNIA I ELEKTROWNIA**

Ostatnio w turystyce coraz większym zainteresowaniem cieszą się miejsca wcześniej nietraktowane w ogóle w kategoriach atrakcji turystycznej. Od, brzmiącej jak kuriozum, tanatoturystyki do niebudzącej już dzisiaj żadnych zastrzeżeń turystyki industrialnej. (str.98)



## **Anna Krasoń** **WODA Z POWODZI NA CZAS SUSZY**

Współcześnie wciąż zbyt często z zamiarem wody „walczy się” za pomocą wałów. Tymczasem wysoką wodę można próbować zagospodarować, pozwalając jej rozlać się w miejscu, gdzie nie wyrządzi ona szkód ludziom. Tak zrobiło Nadleśnictwo Henryków. (str.176)

### **W numerze również:**

- Maciej Czarnecki, *Architektura Witolda Lipińskiego* (str.61)
- Rafał Wietrzyński, *Epidemia tyfusu w Świebodzicach* (str.78)
- Anna Kawalec, *Wzgórza Gilowskie* (str.149)
- *Dzika przyroda z biletem MPK* (str.183)
- Arkadiusz Lipin, *Widoki warte miliony* (str.186)
- *Bariery na Śnieżce* (str.190)
- Lucyna Róg, *To on sprawił, że wrocławska katedra ma dziś hełmy* (str.202) oraz **Dolnośląska Biblioteczka** (str.192)

### **Za pomoc w przygotowaniu tego numeru dziękujemy:**

Gminie Szczawno-Zdrój, Uzdrawisku Szczawno-Jedlina, Łużyckiemu Centrum Rozwoju, Lasom Państwowym, Działowi Promocji i Informacji Politechniki Wrocławskiej, Muzeum Łużyckiemu w Zgorzelcu, Referatowi Promocji Miasta Szklarska Poręba.



**Alicja Kliber**

## **NASI STARSI BRACIA**

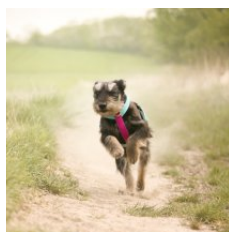
Często mijając ogromne drzewa, nie zastanawiamy się, czym są i jaką rolę spełniają w ekosystemie. Rzadko stanowią cel podróży. Po prostu są obok nas. Jednak stare dolnośląskie drzewa mogą być równie interesujące, co zamki, pola bitew czy górskie widoki. (str.129)



**Anna Kawalec**

## **SZUKAJĄC TRACHITÓW**

Spokojna wyprawa w nieznaną? Puste ścieżki? Jedyna możliwość spotkania sarenek, zajęcy czy inszych zwierząt leśnych? Brzmi jak dobry plan na wypad! Tym razem będzie o ukryte geologiczne niespodziankach, czyli poszukamy ukrytych trachitów! (str.157)



## **Czytaj! Dołącz! Polub! Obserwuj!**

### **Instytut Dolnośląski**

[www.instytutdolnoslaski.org](http://www.instytutdolnoslaski.org) • [Facebook@instytutdolnoslaski](https://www.facebook.com/instytutdolnoslaski)

### **Przystanek Dolny Śląsk**

[www.przystanekd.pl](http://www.przystanekd.pl) • [blog.przystanekd.pl](http://blog.przystanekd.pl) • [bedeker.przystanekd.pl](https://www.facebook.com/bedeker.przystanekd) • [czytanki.przystanekd.pl](https://www.czytanki.przystanekd.pl)  
[Facebook@przystanekd](https://www.facebook.com/przystanekd) • [groups/przystanekd](https://www.facebook.com/groups/przystanekd) • [groups/przystaneksudety](https://www.facebook.com/groups/przystaneksudety) • [groups/przystanekwroclaw](https://www.facebook.com/groups/przystanekwroclaw)  
[Instagram@przystanekd](https://www.instagram.com/przystanekd) • [Twitter@przystanekd](https://twitter.com/przystanekd)

### **Koleją po Dolnym Śląsku**

[kolej.przystanekd.pl](http://kolej.przystanekd.pl) • [kolejapodolnymslasku.przystanekd.pl](http://kolejapodolnymslasku.przystanekd.pl)  
[Facebook@kolejdolnyslask](https://www.facebook.com/kolejdolnyslask) • [@kolejowepogranicze](https://www.facebook.com/@kolejowepogranicze) • [groups/kolejdolnyslask](https://www.facebook.com/groups/kolejdolnyslask)

### **Smaki Dolnego Śląska**

[smakidolnegoslaska.przystanekd.pl](http://smakidolnegoslaska.przystanekd.pl)  
[Instagram@smacznydolnyslask](https://www.instagram.com/smacznydolnyslask) • [Facebook@smakidolnegoslaska](https://www.facebook.com/smakidolnegoslaska) • [groups/smakidolnegoslaska](https://www.facebook.com/groups/smakidolnegoslaska)

### **Przystanek Uzdrowisko**

[Facebook@przystanekuzdrowisko](https://www.facebook.com/przystanekuzdrowisko) • [groups/przystanekuzdrowisko](https://www.facebook.com/groups/przystanekuzdrowisko)



Trinkhalle der Kronenquelle, 1920 / źródło: Bildarchiv Foto Marburg

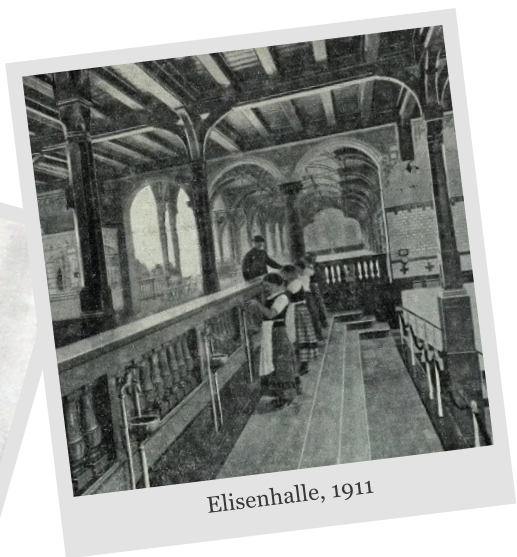


# PRYZSTANEK UZDROWISKO

Uzdrowiska to miejsca szczególne, od wieków wykorzystywane dla poprawy zdrowia i jakości życia. Dzisiaj na powrót stają się miejscami chętnie odwiedzanymi, a dawne kurorty, które w ostatnich dziesięcioleciach nieco podupadły, odzyskują swój blask. Uzdrowiska są znowu w modzie, a ich czwarta część znajduje się na Dolnym Śląsku.



Salzbrenner Oberbrunnen, 1930



Elisenhalle, 1911

fot. (x3) nieznanymi, źródło: Fotopolska.eu/Polska-org.pl



fot. arch. Uzdrowiska Szczawno-Jedlina

8 | PRZYSTANEK DOLNY ŚLĄSK 4(25)/2019





# NAJPOPULARNIEJSZY ZE ŚLĄSKICH ZDROJÓW

tekst Wojciech Głodek

**D**ziewiętnasty wiek to okres niesłabnącej popularności śląskich zdrojów. Pretendentów do miana uzdrowiska było na Dolnym Śląsku kilkudziesięciu, jednak tylko niektórym udało się przekształcić w modne kurorty. Jednym z nich było Szczawno-Zdrój.

Obecnie sezon uzdrowiskowy trwa cały rok, dolnośląskie zdroje warto obrać za cel wyjazdu wiosną i latem, ale także jesienią i zimą. Zawsze jest coś ciekawego do zobaczenia i coś do odwiedzenia. Nie ma problemu ze znalezieniem ciepłego i przytulnego noclegu także w zim-

ne i słotne dni. Zupełnie inaczej niż w dawnych czasach, gdy sezon zdrojowy zaczynał się późną wiosną, rozkwitał latem i cichł jeszcze przed nadejściem pierwszych jesiennych słońc.

W tym roku jednak było wyjątkowo: wskutek ograniczeń nało-



żonych w związku z pandemią koronawirusa sezon zamarł na kilka miesięcy i odżył - tak jak w dawnych czasach - na przełomie wiosny i lata. I my mieliśmy okazję odwiedzić, na zaproszenie gminy Szczawno-Zdrój, budzące się na nowo do życia w czerwcu uzdrowisko.

Szczawno-Zdrój nie należy do najstarszych uzdrowisk na Dolnym Śląsku. Mimo że tutejsze wody mineralne znano już w średniowieczu,

a pod koniec XVI wieku nadworny lekarz Hochbergów z pobliskiego Książa Caspar Schwenckfeldt zbadał ich skład, to jeszcze długo nie było tu zorganizowanego ruchu kuracyjnego. Wody mineralne podawano krowom, uważając, że dzięki temu dają lepsze i smaczniejsze mleko.

Jeszcze na początku XIX wieku w Szczawnie było zaledwie pięć niewielkich pensjonatów, a przy-

Panorama Szczawno z I połowy XIX wieku,  
litografia barwna, autor nieznan, źródło: polska-org.pl





bywających tu na kurację balneologiczną można było policzyć na palcach kilku rąk.

W XIX wieku Szczawno-Zdrój stało się jednak jednym z najbardziej znanych i renomowanych

uzdrowisk w Niemczech, a nawet w Europie. Należało do rodziny Hochbergów, jednego z najważniejszych i najbogatszych śląskich rodów arystokratycznych. To dzięki nim Szczawno odwiedzały korono-

Idylliczna panorama Szczawna-Zdroju na okładce książki "Walce na pianino skomponowane przez Hugo Pohla" z 1900 roku / źródło: fotopolska.eu





wane głowy, wybitni artyści, muzycy i pisarze. Stało się modne.

Co ciekawe wśród rosnącej przez cały XIX wiek liczby kuracjuszy sporą część stanowili Polacy, przede wszystkim z obszaru będącego pod pruskim zaborem księ-

stwa poznańskiego, ale też z obszaru Królestwa Polskiego. Listę znamiennych polskich gości możemy odnaleźć na tablicy pamiątkowej znajdującej się u wejścia do dawnych Łazienek Luizy, czyli dzisiejszego Zakładu Przyrodoleczniczego.



fot. arch. Uzdrowiska Szczawno-Zdrój



Polacy chętnie korzystali w XVIII i XIX wieku ze śląskich i kłodzkich kurortów, które prowadziły na wschodzie rozległe kampanie reklamowe, gdyż nie musiały tam konkurować ani z lokalnymi zdrojami, których po prostu nie było (większość znanych nam dzisiaj w tamtym czasie jeszcze nie powstała), ani z bardziej renomowanymi ośrodkami alpejskimi, których sława była trudna do przebi-

cia. Szczególnie licznie Polacy przyjeżdżali do Szczawnia po wojnach napoleońskich, stanowili wówczas nawet jedną piątą wszystkich gości.

Szczawnio-Zdrój to prawdopodobnie też pierwsze miejsce na dzisiejszych ziemiach polskich, gdzie zabrzmiał Mazurek Dąbrowskiego. Dziś Szczawnio kojarzymy z perspektywy uzdrowiskowej, ale to także miejsce bitwy, która rozegrała się nieopodal - między Szczaw-



Tablica pamiątkowa Barbary z Chłapowskich Dąbrowskiej, żony twórcy legionów polskich we Włoszech, która w 1828 roku przebywała na kuracji w Szczawnio-Zdroju. To prawdopodobnie ona wymieniana jest w czwartej zwrotce naszego hymnu narodowego "Już tam Ojciec do swej Basi / Mówi zapłakany".

fort. Wojciech Głodek



wnem a Strugą na Czerwonym Wzgórzu w dniu 15 maja 1807 roku. Była to pierwsza potyczka ułanów Legii Polsko-Włoskiej, sformowanego w ramach armii Hieronima Bonaparte, z wojskiem pruskim na Śląsku. Bitwę, którą upamiętnia pomnik stojący w Parku Ułanów Nadwiślańskich, w 42 rozdziale “Popiołów” opisał Stefan Żeromski: *Ruszą w Prusactwo z kopyta, po polsku, co duchu w szkapach. Lancami psubratów — durch. W mig wywrócone i w puch rozbite zostały szwadrony huzarów tabaczkowych i pięknych dragonów błękitnych z różowymi wyłogami i bośniaków z lancami.*

Pomnik stoi na Szlaku Ułanów Legii Nadwiślańskiej, bo taką nazwą później otrzymała Legia Polsko-Włoska. Ze Szczawna można nim powędrować przez Strugę, Chwaliszów i Dobromierz w kierunku Strzegomia lub przez Piaskową Górę, Szczawienko, Lubiechów, Jeziorko Daisy i Witoszów do Świdnicy. Szlak ma ponad 50 kilometrów długości i oznaczony jest kolo-

rami: żółtym i niebieskim (znak żółto-niebiesko-żółty), które nawiązują do wyłogów mundurowych polskich ułanów. Można również udać się na spacer po samym Szczawnie z przewodnikiem ubranym w historyczny mundur ułański, który w ciekawej opowieści przybliży dawne dzieje.

Mundur dziewiętnastowiecznego ułana bardzo pasuje do Szczawna, które często określane było uzdrowiskiem cesarskich romansów. Ułani byli symbolem sztuki uwodzenia w XIX wieku, a życie towarzyskie było jednym z głównych celów przyjazdów do zdrojów. To w Szczawnie odpoczął póniejszy cesarz Wilhelm I i tam właśnie romansował z Elizą Radziwiłłówną. To w Szczawnie mieszkał Wilhelm II podejrzewany o romans z księżną Daisy.

Przez długi czas wyjazdy do zdrojów były domeną właśnie arystokracji. Właśnie dlatego - mimo rozwoju balneologii – podstawowym celem wyjazdów do zdroju



fot. arch. Uzdrowiska Szczawno-Jedlina



były aspekty towarzyskie. Przyjeżdżano, aby uciec od brudu wielkich miast, aby oddać się flirtom, towarzyskim plotkom czy hazardowi. Kwestie lecznicze “wyprawy do wód” były tylko pretekstem.

W XIX wieku w kurortach zaczęli pojawiać się także bogaci przemysłowcy, którzy chcieli aspirować do elity, a wyjazd do wód był taką właśnie elitarną rozrywką. Po dróż dylizansem była uciążliwa,

a więc wyjeżdżano na miesiące, a nie jak dziś - na tygodnie czy dni. Często w zdroju spędzano cały sezon od późnej wiosny do wczesnej jesieni.

To dopiero kolej przyczyniła się do rozwoju masowej turystyki i otworzyła uzdrowiska dla klasy średniej. Teraz można było do zdroju dotrzeć już w miarę szybko i wygodnie. Można było przyjechać na krótszy pobyt, a jeśli nie miesz-

Dawny dworzec kolejowy w Szczawnie-Zdroju / fot. Wojciech Glódek, 4 sierpnia 2018 roku







kało się zbyt daleko, nawet na niedzielną wycieczkę. Nie inaczej było i w Szczawnie-Zdroju.

Dziś niestety do samego źródła nie dotrzemy już koleją. Ostatni pociąg pasażerski odjechał ze Szczawnicy w połowie lat 60. XX wieku i na razie nic zapowiada, aby miało się to zmienić. Dworzec kolejowy jest obecnie siedzibą prywatnej firmy i można go zobaczyć tylko z zewnątrz i tylko przez płot. Jeśli nie

jest nam jednak straszny trwający trzy kwadrans spacer przez dawny park, to można przyjąć, że do szczawieńskiego źródła możemy przyjechać pociągiem.

Codziennie do stacji kolejowej Wałbrzych Miasto dociera ponad 30 pociągów. Są to głównie składy regionalne kursujące między Wrocławiem a Jelenią Górą i Szklarską Porębą. Nie brakuje też połączeń dalekobieżnych. Możemy tu doje-

Dworzec kolejowy Wałbrzych Miasto / fot. Wojciech Głodek, 9 kwietnia 2017 roku





chać bezpośrednim pociągiem z Poznania, Warszawy, Białegostoku, Przemyśla czy Krakowa. Sam budynek dworca przyciąga swoim niezwykle kształtem, który przypomina zabudowania zdrojowe. I nie jest to podobieństwo przypadkowe. Obok funkcjonowało trzecie najstarsze uzdrowisko na Dolnym

Śląsku i pierwsze na ziemi wałbrzyskiej - Stary Zdrój.

Stary Zdrój to dzisiaj część Wałbrzycha, dawniej był jednak oddzielną miejscowością o statusie uzdrowiska. Do Wałbrzycha został włączony na początku XX wieku, kiedy nie miał już szans na samodzielną egzystencję. Do upadku



Pełne tajemnic Wzgórzy Giedymina / fot. Wojciech Głodek, 4 sierpnia 2018 roku

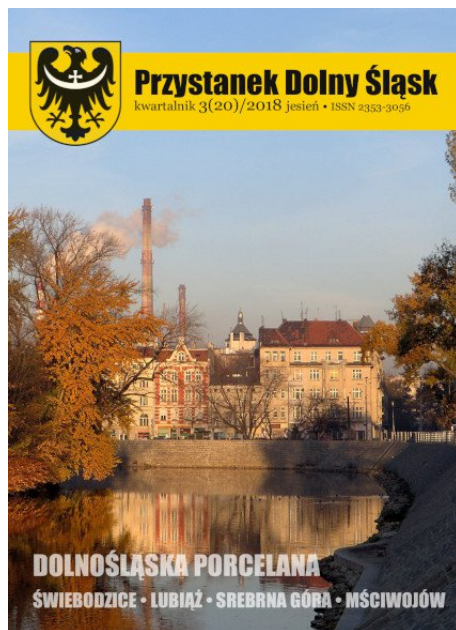


uzdrowiska przyczyniło się to, co zdecydowało o rozkwicie Wałbrzycha: rozwój górnictwa – prowadzone prace naruszyły warstwy wodonośne, przez co nie można już było korzystać z dobrodziejstw zdrojowych wód. Ale też upadek tak poważnego konkurenta, jak Stary Zdrój, ułatwił start nowemu zdrojowi – dzisiejszemu Szczawnu.

Prosto z dworca kierujemy się pod górę ulicą Stefana Żeromskiego. Ruina zakładów, którą widzimy po lewej, to dawna duma miasta, miejsce, w którym produkowano “białe złoto”, czyli wałbrzyską porcelanę. Z licznych niegdyś fabryk porcelany w okolicy okres transformacji przetrwała tylko jedna. Fabryka Porcelany “Krzysztof” ma sklepik firmowy w centrum Wałbrzycha, jednak jej produkty można kupić także w Szczawnie w Domu Zdrojowym. Mogą być idealną pamiątką z wyjazdu do źródła.

Po kwadransie marszu pod górę docieramy do placu Giedymina. Tu trzeba zejść z głównej drogi i kierując się znakami niebieskiego

szlaku turystycznego przejść przez plac i między budynkami wejść ubitą gruntową drogą do lasu. Niebieski szlak poprowadzi nas do samego centrum Szczawnu. Ale nawet jeśli go zgubimy, to nie ma się co martwić, bo las, w którym będziemy, to dawne założenie parkowe i ścieżek parkowych prowadzących do źródła jest tu bez liku.



O historii wałbrzyskiej porcelany pisaliśmy w nr 3(20)/2018 kwartalnika **Przystanek Dolny Śląsk**, który możecie pobrać z naszej strony [www.przystanekd.pl](http://www.przystanekd.pl)



Park leśny na dzisiejszym Wzgórzu Giedymina powstawał w pierwszej połowie XIX wieku równoległe z rozbudową szczawieńskiego kurortu. Na początku XX wieku na szczycie Góry Parkowej stała wieża widokowa i cały kompleks restauracyjno-rozrywkowy, po którym dziś pozostały już tylko ruiny fundamentów, które można odnaleźć wśród bujnej zieleni między starymi, parkowymi ścieżkami,

dziś wyglądającymi już jak zwykłe leśne dróżki.

Niewiele lepiej czas, a właściwie powojenne władze regionu, obeszły się z polem golfowym, które powstało tu w latach 20. XX wieku na zlecenie księcia Jana Henryka XV Hochberga z Książa. Golf to zdecydowanie nie był sport, na którego rozwoju i promocji zależałoby nowej ludowej władzy. Jedyną pozostałością po dawnym



fot. Wojciech Głodek, 4 sierpnia 2018 roku



polu golfowym jest domek klubowy, w którym od lat 70. XX wieku działa kawiarnia „Słoneczna Polana”. Nie jest się jednak łatwo do niej dostać, bo funkcjonuje tylko w sezonie letnim i nie we wszystkie dni jest otwierana.

W XXI wieku teren dawnego pola golfowego, na którym kiedyś rozgrywano nawet mistrzostwa Niemiec w golfie, znowu zaadoptowano na cele sportowe. Powstał tu

czterystumetrowy tor do 4-crossu, czyli ekstremalnego kolarstwa górskiego, gdzie kolarze rywalizują na torze pełnym przeszkód, z kamieniami, wąskimi ścieżkami, ostrymi zakrętami i hopkami pozwalającymi nawet na kilkumetrowe loty. Przejazdu na torze, gdy nie ma zawodów, może spróbować każdy, oczywiście na własną odpowiedzialność, bo to bardzo niebezpieczny sport, a tor na Słonecznej



fot. Wojciech Głodek, 4 sierpnia 2018 roku



Polanie jest jednym z najlepszych i najtrudniejszych w Europie.

Ci, którzy wolą mniej ekstremalne sporty, znajdą tu też siłownię na wolnym powietrzu, spory plac zabaw dla dzieci z huśtawkami i zjeżdżalnią oraz niewielkie, idealne dla początkujących, ścianki wspinaczkowe. A dla tych, którzy chcą po prostu poleniuchować, Szczawno ma sporo kawiarnianych i restauracyjnych propozycji.

W niezwykle zaokrąglonej werandzie przy wejściu do parku zdrojowego, tuż obok pomnika Henryka Wieniawskiego, znajduje się Bohema Cafe. Zachwyca wystrojem wnętrza, spokojną uzdrowską atmosferą i specjałami z menu – nie tylko z uwagi na ich smak, ale i sposób podania. Znajdą tu dla siebie coś amatorzy czekolady, ciast owocowych, delikatnych babeczek czy ciast drożdżowych.



Sanatorium Młynarz / fot. arch. Uzdrowiska Szczawno-Jedlina



A do tego wszystkiego zawsze przepyszna kawa.

Jeśli zaś lubimy herbatę oraz kameralne i niebanalne wnętrza w stylu retro, wówczas spacer po parku zdrojowym warto zakończyć w Herbaciarni Teatralnej. Przenieśmy się do innego świata, w któ-

rym czas płynie wolniej, a odmierzają go maleńkie klepsydry stawiane na stolikach obowiązkowo przy każdym czajniku herbaty. Można zamówić czajniczek 0,25, 0,5, 0,75 lub 1 litr z wybraną jedną z kilkudziesięciu aromatycznych i wyrazistych mieszanek herbat.



Budynek Teatru od stony ulicy / fot. Wojciech Głodek, 14 sierpnia 2015 roku



Warto zwrócić uwagę także na sam teatr. Powstał on w miejscu poprzedniego na przełomie XIX i XX wieku. Za zachwycającą do dziś klasycystyczną elewacją kryje się bogate neorokokowe wnętrze sali teatralnej z trzema lożami na piętrze i ogromnym żyrandolem. Na początku lat 70. XX wieku rozpoczęto remont, który włączył teatr z użytku na ponad 20 lat. Od połowy lat 90. można jednak tu znowu

przychodzić na koncerty i przedstawienia, które stanowią idealne uzupełnienie odpoczynku w uzdrowisku. Odbywają się tu Międzynarodowe Festiwale Henryka Wieniawskiego, koncerty Vratislavia Cantans i Filharmonii Sudeckiej oraz recitale znanych artystów.

W tym samym okresie co teatr powstał też hotel zdrojowy Schlesischer Hof, który do dziś pełni funkcję głównego Domu Zdrojo-



Dom Zdrojowy / fot. arch. Uzdrowiska Szczawno-Jedlina





wego. W momencie oddania do użytku na przełomie 1909 i 1910 roku był to największy i najnowocześniejszy hotel na Śląsku stanowiący dominantę całego uzdrowskiego zespołu urbanistycznego. Monumentalny budynek posiada trzy piętra i dysponuje dziś blisko 300 miejscami noclegowymi w 130 pokojach, z których wiele posiada własne mini-balkony lub wyjścia na tarasy. Są tu 3 jadalnie, sale rehabi-

litacyjne, gabinety lekarskie i gabinety zabiegowe.

Z bogatej gamy zabiegów na uwagę zasługują: kąpiel w zawieszonym borowinowej czy Body Detox. Można z nich skorzystać także przyjeżdżając do Szczawna tylko na weekend. Zrelaksować można się także w jednej z trzech saun - suchej, parowej lub na podczerwień, która sprawdzi się szczególnie dla osób cierpiących na bóle kręgosł-



Dom Zdrojowy / fot. arch. Uzdrowiska Szczawno-Jedlina



pa, chorobę zwyrodnieniową stawów czy stany pourazowe narządów ruchu.

W drewnianej Pijalni Wód Mineralnych, najbardziej rozpoznawalnym budynku w Szczawnie, można skorzystać z kuracji pitnej. Szczawieńskie wody lecznicze to: Dąbrówka wspomagająca leczenie przewlekłych stanów zapalnych, chorób żołądka, jelit, wątroby i dróg żółciowych oraz zaburzeń

przemiany materii; Mieszko wspomagający leczenie schorzeń układu oddechowego, nieżyty żołądka i zaburzenia przemiany materii; Marta wspomagająca leczenie zaburzeń w przewodzie pokarmowym i chorób układu moczowego oraz Młynarz wspomagający leczenie choroby wrzodowej i przewlekłych nieżytów żołądka z nadkwasotą.

Mimo że na piętrze pijalni znajdują się wygodne fotele do



Hała Spacerowa i Pijalnia Wód / fot. arch. Uzdrowiska Szczawno-Jedlina



użytku kuracjuszy, od początku stosowania kuracji najbardziej wskazane było wolne popijanie wód mineralnych podczas spaceru. Idealnym na to miejscem jest oczywiście Park Zdrojowy, a dla tych, którzy wolą trochę spokojniejsze i mniej tłoczne miejsca – Park Szwedzki. Rośnie w nim wiele unikalnych drzew i krzewów, między innymi cypryśnik błotny, modrzewnik chiński, limba czy miłorząb dwu-

klapkowy. Spacer po parku umilają dwa niewielkie stawy i działająca na jednym z nich fontanna.

Na końcu wijącej się przez Park Szwedzki drogi, z której można podziwiać malowniczy krajobraz łąk zamknięty masywem Chełmca, wita nas jeden z bardziej interesujących obiektów w Szczawnie-Zdroju. To drewniany budynek, jakiś czas temu pieczołowicie odnowiony przez nowych właścicieli.



fot. arch. Uzdrawiska Szczawno-Jedlina



Wybudowany został w pierwszej połowie lat 40. XIX wieku w modnym wówczas stylu szwajcarskim. Zaprojektował go J.F. Raabe na zlecenie hrabianki Idy von Hochberg, żony księcia Jana Henryka X z pobliskiego Książa.

Hrabina zmarła w trakcie budowy, jednak obiekt, który wkrótce stał się ulubionym miejscem spacerów szczawieńskich kuracjuszy, nazwano na jej cześć Ida Hof czyli

Dwór Idy. Wokół niego postawiono także kilka budynków folwarcznych. Dziś w Dworze Idy oraz w otaczającym go dziewiętnastowiecznym folwarku utworzono miejsca noclegowe, sale restauracyjne oraz stadninę z zabytkową ujeżdżalnią i hotelem dla koni i nazwano go Dworzyskiem.

W Dworze Idy mieści się dziś kawiarnia Szwajcarka, gdzie można sobie zrobić niezobowiązującą



"Szwajcarka" i restauracja "Babinicz" / fot. arch. Dworzyska



przerwę na kawę lub piwo. Na piętrach znajdują się natomiast pokoje dla gości, z których można wejść na taras i podziwiać widoki na Chełmiec lub Park Szwedzki. W budynku stojącym naprzeciw, będącej dawniej częścią stajni znajduje się restauracja Babinicz, do której trze-

ba się koniecznie zajrzeć poszukując niebanalnych smaków. Babinicz już pięć razy został wyróżniony w prestiżowym Żółtym Przewodniku Gault&Millau oraz doceniony przez SlowFood Polska za wykorzystywanie nisko przetworzonej żywności od lokalnych dostawców.



Stadnina koni / fot. arch. Dworzyska



Odwiedzając restaurację, koniecznie spróbujcie także robionych na miejscu nalewek. Są przepyszne! W tej chwili są dostępne w restauracji, ale możliwe, że już wkrótce goście będą mogli ich próbować w specjalnie przygotowanej piwniczce. Na razie wykorzystywana jest ona do przechowywania produkowanych na miejscu przetworów. Są tu dzemy, octy, kiszonki oraz oczywiście wspomniane wcześniej

nalewki, spośród których nam wyjątkowo zasmakowała ta z czeremchy oraz fantastyczna ratafia.

Szefem kuchni w restauracji Babinicy jest Rafał Grzegorzek, który swoje doświadczenie zdobywał m.in. w warszawskiej restauracji Amber Room, która jako jedyna w Polsce została wyróżniona czterema sztućcami w przewodniku Michelin. Może znacie go z finału szóstej edycji Top Chefa? Jego



fot. Wojciech Głodek



oczkiem w głowie jest ogródek, który jak mówi przekonał go, aby zmienić pracę. Całkiem sporych rozmiarów ogród ziołowo-warzywny, którym na stałe zajmuje się dwóch ogrodników, zlokalizowany jest tyłach kompleksu i dostarcza świeżych produktów codziennie używanych w kuchni.

Szczawno-Zdrój otoczone jest z każdej strony urokliwymi wzniesieniami i lasami, które zachęcają

do wycieczek pieszych, konnych czy rowerowych i niczym nieskrępowanego odpoczynku w uzdrowisku już od ponad dwustu lat. To idealne miejsce zarówno na dłuższą kurację uzdrowską, jak i krótki pobyt weekendowy dla naładowania baterii na kolejny tydzień. [•]

Autor z wykształcenia jest informatykiem, a zamiłowania regionalistą. Uwielbia piesze wycieczki i podróże koleją. Najciekawsze jego zdaniem są miejsca poza głównymi szlakami, które można podziwiać w ciszy i spokoju.



fot. arch. Dworzyska

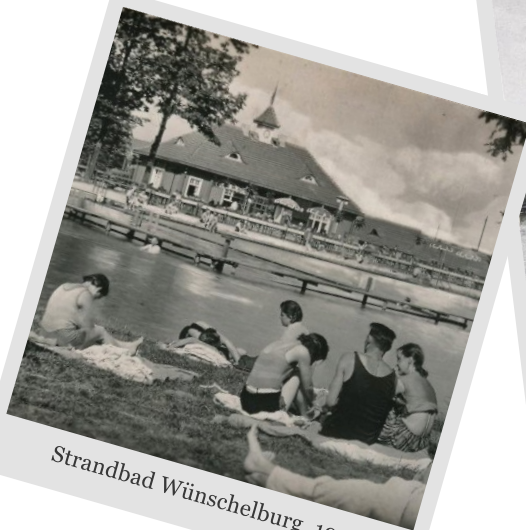






# LUDZIE I MIEJSCA

Historię miejsc tworzą ludzie. Swoje piętno na Dolnym Śląsku odcisnęli Polacy, Niemcy i Czesi, dzięki czemu można tu znaleźć - jak nigdzie indziej - ogrom dziedzictwa kulturowego kilku epok i narodów. Piękne zabytki łączą się z niezwykłą przyrodą, a historia przeplata się ze współczesnością, kusząc tajemnicami z czasów odległych i tych całkiem bliskich.



Strandbad Wünschelburg, 1937



Städtische Badeanstalt Trebnitz, 1935

fot. (x3) nieznanymi, źródło: Fotopolska.eu/Polska-org.pl



Przydrożny krzyż w Marcinkowie



# ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI

tekst i zdjęcia **Agnieszka Latocha**

**Z**apraszamy na wędrowkę przez wyludnione wsie Sudetów Wschodnich, gdzie nadal w krajobrazie czytelne są ślady przeszłości. Aby je zobaczyć, trzeba tylko zejść z utartych ścieżek, by znaleźć się w innym wymiarze czasu.

## SUDECKI ANGKOR

Gruby korzeń rozpycha się między omszałymi cegłami. Kilka z nich zdążyło wypaść, wypchnięte siłą rozrastającego się świerka. Tuż obok drzewo usadowiło się na szczycie dawnego budynku i tak ściśle oplata korzeniami kruche ściany, że trzymają się one już tylko dzięki sile tego uścisku. Nieco dalej, potężny dąb rozgościł się w samym

środku starego domu – zamiast dachu nad ruiną rozpościera się strop z gęstego listowia rozłożystej korony.

We wszystkich murach dawnych domostw widoczne są wybrzuszenia – ściany rozsadza od środka wpełzające do każdego zakamarka nowe, roślinne życie. Musi zapełnić się pustka po ludziach, poprzednich mieszkańcach, którzy opuścili to miejsce. W jednych do-



mach drzewa dopełniają dzieła zniszczenia, moszcząc się między ceglami i kamieniami, w innych – drobniejsze rośliny tak szczerlnie porosły dawne ruiny, że w zielonej gęstwinie trudno dostrzec fragmenty dawnej zabudowy. Zamiast progów – korzenie, zamiast szyb w oknach – konary, zamiast strychu – liście.

Nie jest to bynajmniej opis słynnych świątyń Angkoru, przez wieki skrywanych w kambodżańskiej dżungli. Jesteśmy w Jaworku Górnym w Masywie Śnieżnika. Ale mechanizm dziejów jest bardzo podobny, niezależnie na jakiej szerokości czy długości geograficznej się znajdujemy. Przyroda nie lubi próżni i szybko zaciera pozostałości dawnych działań człowieka, choć jeszcze nie wszędzie jej się to udało.

W Sudetach znajdziemy wiele miejsc, gdzie nadal w krajobrazie czytelne są ślady przeszłości. Trzeba tylko zejść z utartych ścieżek, by znaleźć się w innym wymiarze czasu. Oto niespodziewanie pośrodku gęstego świerkowego lasu otwiera

się jasna polana, a na niej owocowe drzewa – ich powykręcane konary wskazują na podeszły wiek. Większość gałęzi już uschła, ale na niektórych nadal rodzą się owoce. Smaku jabłek z dziczejących w lesie przedwojennych sadów nie można zapomnieć.

## SZTOLNIE I TAJEMNICE GÓRNICWA

Lutynia to nieduża wioska w Górach Żółtych położona tuż przy granicy z Czechami. Dzisiaj skupisko niewielu domów, a w średnowieczu – osada przy ważnym szlaku handlowym zwanym Solną Drogą. Można tu dojść spacerem z pobliskiego Łądka Zdroju.

Jeśli będziemy zbliżać się do Lutyni latem, przy pełni wegetacji, z pewnością nic szczególnego nie zauważymy. Ale wystarczy, że opadną liście, to uważny obserwator dostrzeże, tuż przed wjazdem do wioski, po prawej stronie doliny, olbrzymią konstrukcję.

Potężne betonowe ściany, częściowo rozwalone ceglane mury,



Jaworek Górny – drzewa wrastają w ruiny domostw



betonowe baseny – teraz suche i zarośnięte mchem – nierówny teren, pełen zagłębień i hałd porośniętych trawą. To wszystko, co zostało z dużej kopalni i przetwórnicy rud ołowiu i srebra wydobywanych w okolicznych sztolniach już od XVI wieku.

– *Po wojnie, ale tylko przez kilka lat, wydobywano tu także uran – jedna z najstarszych mieszkańek Lutyni, z którą rozmawiałam przed wielu laty, zniżyła głos do szeptu, mówiąc o przeszłości. Mimo że eksploatacja tego strategicznego surowca zakończyła się sie-*



Ślady dawnego górnictwa w Potoczku - sztolnia uranu



demdziesiąt lat temu, temat nadal owiany jest aurą tajemnicy. Potwierdził to także poznany w terenie kolega, który wychował się w Potoczku, małej wiosce w południowej części Masywu Śnieżnika. W latach 50. XX wieku również tam prowadzono poszukiwania i wydo-

bycie uranu. Jego dziadek pracował w tamtejszych kopalniach.

*– I wyobraź sobie, że dziadek nigdy ani słowa nie powiedział o swojej pracy! Nawet przez te wszystkie lata, gdy kopalnie już dawno zostały zamknięte i zmienił się ustrój. Jakby chciał wyprzeć*



Ruina dawnej kopalni i zakładu przetwórczego rud ołowiu w Lutyni



*z pamięci tamten okres swojego życia; albo taki dostał służbowy nakaz – mój nowy znajomy był poruszony, mimo że jest za młody, by pamiętać tamte czasy – Potoczek był wtedy strefą zamkniętą, tylko osoby pracujące przy wydobyciu miały prawo wjazdu. Cała tamta*

*góra – chłopak pokazał ręką na południe – została podziurawiona sztolniami jak szwajcarski ser. Zresztą sama się przekonasz, jak tam pójdziesz. Te niewielkie i płytkie, owalne zagłębienia terenu, jakie tam zobaczysz, to właśnie dawne wloty do sztolni.*



Ślady dawnego górnictwa w Potoczku





*Łatwo je przeoczyć, ślady szybko się zacierają...*

## UKRYTA PERŁA

Z Lutyni ruszam w górę doliny Lutego Potoku. Robi się coraz bardziej dziko. Droga wkracza w las i staje się coraz bardziej stroma,

a dolina coraz węższa. Na jej mocno nachylonych zboczach pojawiają się liczne skałki, które jeszcze bardziej potęgują wrażenie naturalności i dzikości terenu. Jednak po przejściu niecałych dwóch kilometrów mroczna, wąska i skalista dolina niespodziewanie się rozszerza i ła-



Tu kiedyś była wieś... (Wrzosówka)



godnie, a miejsce lasów zajmują rozległe łąki.

Oto Wrzosówka, miejsce uznawane przez wiele osób za jedno z najpiękniejszych w Sudetach. Tu też kiedyś była wieś. Jeśli rozejrzemy się uważnie po stokach, to zobaczymy na nich liczne, rozproszone po całym obszarze niewielkie skupiska drzew i krzaków. Wyglądają całkiem naturalnie. Jednak gdy podejdziesz się blisko, okazuje

się, że skryte są w nich resztki fundamentów dawnych gospodarstw.

Trudno uwierzyć, że to tchnące obecnie ciszą, spokojem i przestrzenią miejsce było kiedyś całym sporą osadą, liczącą w okresie świetności ponad stu mieszkańców. Jednak warunki życia w tym odludnym górskim zakątku okazały się zbyt trudne. Nie każdy miał chęć po raz kolejny wnosić w koszach lub wwozić w taczkach glebę



Kościółek we Wrzosówce i nowo powstała wiata turystyczna w miejscu dawnej gospody



zmywaną ze stromych stoków po większych deszczach – a praca ta była powszechna w całych Sude tach, jeśli chciało się ocalić swój ka wałek pola na górskim stoku.

Po II wojnie światowej we Wrzosówce zamieszkało kilka osób, ale do lat 70. XX wieku opuścili ją

wszyscy. Przetrwały tylko dwie sta re chaty, zamieszkiwane okresowo, oraz malowniczy kościółek odno wiony na początku tego wieku. W ostatnich latach grunty Wrzosówki zostały sprzedane na działki budowlane i powstają już nowe obiekty mieszkalne.



Marcinków – ruiny zabudowań



Marcinków - przydrożna kapliczka



Przed laty miałam okazję porozmawiać z jednym z „letnich” bywalców wioski, na stałe mieszkańca wielkiego miasta, daleko stąd. Gospodarz posiadał bogatą kolekcję starych fotografii. Z pasją tłumaczył mi współczesny krajobraz przez pryzmat pożółkłych, nadwerżonych czasem zdjęć. Otwarta przestrzeń łąk, z pojedynczymi kępami drzew, zamieniła się w tętniącą życiem wioskę. Wszędzie wokół, gdzie teraz tylko trawa i drzewa – na zdjęciach widziałam chaty.

– *O, a tuż poniżej kaplicy stała duża gospoda. Sporo turystów wędrowało przed wojną w te strony, to i zatrzymać się gdzie mieli, zwłaszcza ci, którzy wędrowali dalej na Borówkową – mężczyzna wskazał na zdjęciu całkiem ogołocony grzbiet ze spłaszczonym szczytem, na którym widniała potężna sylwetka wieży widokowej – a teraz, widzi pani, tam gdzie była karczma – tylko chaszcze, a stoki całkiem zarosły lasem.* Niedawno w miejscu dawnej gospody wybudowano wiatę turystyczną

Faktycznie, miejsce prawie nie do poznania, tyle zdążyło się rozrosnąć lasów. Ale historia nie daje tak łatwo za wygraną – na szczycie Borówkowej, po wielu latach przerwy, obecnie znów stoi wieża widokowa. Choć krajobraz z niej już zupełnie inny niż ten, który oglądali wędrowcy utrwaleni na czarno-białej fotografii.

## WYLUDNIONE WSIE KROWIAREK

Panorama ze Skowroniej Góry w paśmie Krowiarek jest imponująca. W zasięgu wzroku jest prawie cała centralna część ziemi kłodzkiej. Można zazdrościć mieszkańcom Marcinkowa, że mieli taki widok na co dzień z okien domów. Choć dla nich nie był on wystarczającym powodem, aby tu zostać. Obecnie cieszy nim oczy zaledwie kilku stałych mieszkańców wsi.

Podobnie jak we Wrzosówce, tak i tutaj wszędzie wokół widać ciemniejsze plamy – zarośnięte krzakami spłaszczenia stoku ukrywają ledwo wystające z ziemi fragmenty podmurówek. Jedna tylko



ruina zachowała się w nieco lepszym stanie – kościół. Stoi na samym grzbiecie, jak widoczny z daleka zwornik. Zbiegały się przy nim główne drogi, które schodziły w dwie doliny, po przeciwnych stronach grzbietu. Dziś – zamiast gwaru centralnej części dawnej wsi

– cisza i tylko odgłosy ptaków, które uwiły sobie gniazda w kościelnej bramie, i niewzruszony spokój pasącego się nieopodal dużego stada bydła. Kościół otoczony jest murem, a przy wejściu umieszczono tabliczkę, która ostrzega przed niebezpieczeństwem podchodzenia do



Marcinków – ruina kościoła i cmentarz



budowli, bo grozi zawaleniem.

Ryzykuję, wchodzę. Większość nagrobków na przykościelnym cmentarzu zapomniana przez czas. W żłobieniach liter i dat rozgościły się mchy i porosty. Zwalone drzewo opiera się o prezbiterium. W strzelistych, łukowych okiennych ni-

szach, tam, gdzie powinny być witraże, wyrosły jarzębiny. Przechylają wiotkie gałęzie na zewnątrz, jakby z ciekawością wyglądały przez okno na świat.

Schodzę z grzbietu na wschodnią stronę. Ten fragment Marcinkowa był kiedyś odrębną



Marcinków – ruiny zabudowań



osadą: Czatków – po latach zapomnienia nazwa ta ponownie zaczyna się pojawiać na najnowszych mapach. Nigdy natomiast nie przestała żyć w świadomości okolicznej ludności.

Czatków służył niegdyś z wyjątkowej w całym regionie zabudo-

wy. W wąskiej, stromej dolinie, gospodarstwa ułożone były jedno nad drugim, a niektóre partie domów wznoszone były na słupach, niczym na kurzych stopkach – nie było innej możliwości budowy w terenie o tak dużym nachyleniu. Architektura Czatkowa była atrak-



Czatków – dawna droga przez wieś





cją, która przyciągała przedwojennych turystów.

Obecnie wędrowiec musi zadowolnić się jednym domem – tylko tyle zostało ze wsi, która liczyła niegdyś blisko stu mieszkańców. Jeszcze parę lat po wojnie stało tu znacznie więcej gospodarstw, a no-

wo przyjezdni Polacy ze wschodnich kresów i centralnej części kraju mieszkali w dobrej komitywie ze swoimi nielicznymi niemieckimi sąsiadami, którzy pozostali po wojnie (którym pozwolono pozostać, albo którym kazano pozostać...) w rodzinnych stronach,



Marcinków – ruiny zabudowań



nawet mimo zmiany przynależności państwowej ich małej ojczyzny.

Większość Niemców musiała wyjechać. Ale niektórzy wracają. Coraz mniej liczni, coraz starsi, z coraz większym trudem wspinają się, często o laskach, po stromych stokach, żeby choć jeszcze przez chwilę krajobraz zapamiętany z odległej przeszłości pozwolił na przywołanie szczęśliwych lat dzieciństwa.

– *Zaprzyjaźniliśmy się z kilkoma takimi Niemcami – opowiada mieszkaniec ostatniego gospodarstwa, jakie pozostało w Czat-kowie – wracali co roku na krótkie wakacje. Zwłaszcza Heinrich, jego rodzina miała spore gospodarstwo nieopodal – mężczyzna wskazuje kawałek pastwiska, gdzie właśnie pasą się krowy – jakoś tak polubił nas chyba, że jak przyjeżdżał, to*



Ruina kościoła w Rogóźnie



wcale nie zatrzymywał się w żadnym hotelu, ale u nas, choć wygod tu nie jest dostatek, ot, sama pani widzi. Twierdził, że tutaj lepiej czuje ducha swoich przodków. Sympatyczny dziwak z tego Heinricha. Całymi dniami włóczył się po łąkach i lasach, a jak wracał, to

miał łzy w oczach. Powiem pani, że jak on tak szedł w te pola, to naprawdę martwiłem się o niego, że mu z tej tęsknoty za utraconym czasem serce pęknie. I co ja bym wtedy z nim zrobił?!

Gdy z Czatkowa schodzę w dół, w stronę Konradowa, mam cały



Przy ruinach dawnych domostw nadal kwitną sady (Rogóżka)



Ślady dawnych dróg



czas przed oczami widok na szeroką dolinę po przeciwległej stronie – to jeszcze jedna wioska-widmo, Rogóżka. Oprócz starych owocowych drzew, podmurówek dawnych budynków i ruiny zarośniętej drzewami kaplicy, nic więcej nie wskazuje, że była to niegdyś bardzo duża i ludna wieś. I na dodatek znana w regionie atrakcja turystyczna, bo w trakcie eksploatacji działającego tu w XIX wieku kamieniołomu odkryto jaskinię z piękną szatą naciekową. Nie zostało po niej śladu,

a nieczynny kamieniołom coraz bardziej skrywa się w gęstwinie drzew. Kilka lat temu cała Rogóżka została sprzedana – być może wróci tu życie. Ale na razie zdziczałe jabłonki rosną w spokoju.

## DROGI, KTÓRYCH NIE MA

W czasie wędrówek śladami przeszłości korzystam ze starych map – topograficznych, przedwojennych niemieckich i powojennych polskich. Pełno na nich dróg i ścieżek. Ale gdy próbuję którąś z nich



Ślady dawnych dróg



podążać, okazuje się, że nie istnieją. Tam, gdzie na mapie wyraźnie biegnie droga, przede mną roztacza się gęstwina lasu, albo pas krzaków, tak ciasno splełanych, że nie sposób przejść.

Czasem tylko jakaś niewyraźna skarpa, czy ledwo dostrzegalne w stoku spłaszczenie albo zarośnięte trawą koleiny świadczą, że jednak stare mapy nie kłamią. W innych

miejscach dawne drogi zostały rozcięte przez potoki – nieoczyszczane przepusty i światła mostów wypełniły się gliną splukiwaną ze stoków i zarosły, a woda, zamiast pod drogą, zmuszona jest płynąć górą, by ominąć „przeszkodę”.

Stare drogi nagle urywają się, rozcięte nowym korytem potoku. Przyroda próbuje odtworzyć dawne kształty i wrócić do formy z czasów,



Piwnica ze sklepieniem w dawnej gospodzie w Rogóźnie



zanim jeszcze człowiek poprzecinał stoki siatką dróg i zmienił ich wygląd. Zresztą, te drogi i tak już nikomu nie są potrzebne, bo pól i gospodarstw, do których prowadziły, już nie ma. Za to w innych miejscach, wędrując zwykłymi leśnymi drogami, nagle dostrzegam

w nich... bruk! Niekiedy z wyrwami, brakującymi fragmentami, ale jest! Zaczynam uważniej patrzeć pod nogi. Wiele sudeckich ścieżek było dawniej brukowanych, co więcej – do tej pory te układane niegdyś z dużym wysiłkiem kamienie dobrze chronią drogi przed zniszczeniem



Nieczynny kamieniołom w Rogóźnie



Wał kamienny wzdłuż miedzy (Rogóżka)





przez deszcze i wody roztopów. Mimo że nikt ich nie naprawia od lat.

Wędrując drogami, których nie ma, raz po raz napotykam większe i mniejsze nagromadzenia kamieni w postaci hałd lub wałów. W niektórych miejscach głązy są równiutko ułożone w potężne kamienne mury, które ciągną się na stokach na długości wielu metrów. Cóż to za tajemnicze konstrukcje?

Kto zadał sobie tyle trudu, by pieczołowicie przyozdobić sudeckie stoki setkami, czy wręcz tysiącami kamiennych kopców i pasów?

Odpowiedź ponownie tkwi w przeszłości. To nie żadne niezwykłe architektoniczne dzieło, ale codzienna konieczność – praca rąk mieszkańców silnie niegdyś przeludnionych wiosek. Górskie gleby nie są wdzięczne dla rolników, któ-



Hałda kamieni wybieranych w przeszłości z gruntów ornych (Rogóżka)



rzy próbują na nich pracować – „rodzą” zimne kamienie zamiast dorodnego zboża.

Te setki kamieni, z ogromnym wysiłkiem zbieranych przez ludzkie ręce z dawnych pól, to wciąż trwały w krajobrazie wyraz walki między człowiekiem i przyrodą, jaka toczyła się tu dawniej o każdy skrawek ziemi, który można było zaorać. Większość kamiennych kopców już zarosła – mchem, porostami, krzewinkami borówki czy drzewami. A ziemia nadal rodzi kamienie, tylko nikt już nie ma potrzeby ich zbierać.

Przy drogach, których nie ma, spotykam liczne kapliczki, przydrożne świątki i krzyże. Niektóre noszą ślady niedawnego odnowienia, pomalowane, ze świeżymi kwiatami w słoiku i dopiero co wygasłymi zniczami.

Ale są też kapliczki puste – z wypalonym wnętrzem, odpadającym tynkiem, z grzybem na ścianach zamiast wizerunków świętych, z wypaczonymi przez czas drzwiczkami, którymi teraz bawi się wiatr.

Zamiast pocieszenia - emanuje z nich smutek i tęsknota.

## ŚLADY PRZESZŁOŚCI

To tylko niewielki wycinek śladów przeszłości w Sudetach. Prawie każda dolina, każdy las, każda góra skrywają swoje tajemnice. Ale trzeba się spieszyć z ich odkrywaniem.

Drzewa coraz bardziej się rozrastają, rozsadzają kolejne cegły z ruin dawnych domostw, panoszą się na nieużytkowanych drogach i polach. W innych miejscach z kolei wyrastają coraz liczniejsze nowe domy, letniska, pensjonaty, wielkie hotele, trasy narciarskie, betonowe parkingi. Coraz trudniej odnaleźć ślady historii. Śpieszmy się więc czytać jej znaki w krajobrazie, by jeszcze zdążyć nawiązać dialog z przeszłością.[•]

Autorka jest geografem, pracuje w Instytucie Geografii i Rozwoju Regionalnego Uniwersytetu Wrocławskiego. W swoich badaniach zajmuje się m.in. relacjami człowiek-środowisko na przestrzeni dziejów oraz przemianami krajobrazu kulturowego na Dolnym Śląsku. Po wyludnionych wsiach w Sudetach włączy się już od 20 lat. Poza pracą jej pasją są podróże, wędrowki, taniec i pisanie.



Przydrożna kapliczka w Jaworku Górnym



Obserwatorium na Śnieżce

60 | PRZYSTANEK DOLNY ŚLĄSK 4(25)/2019



# ARCHITEKTURA WITOLDA LIPIŃSKIEGO

tekst i zdjęcia **Maciej Czarnecki**

**W** czerwcu tego roku budynek obserwatorium meteorologicznego im. Tadeusza Hołdysa na Śnieżce wpisano do rejestru zabytków województwa dolnośląskiego. To ważna informacja, jeśli weźmiemy pod uwagę kondycję techniczną obiektu.

Wpisanie obserwatorium na Śnieżce do rejestru zabytków to także duży krok w kierunku ochrony powojennego dziedzictwa architektonicznego. Z tej okazji chcemy przybliżyć sylwetkę jednego z projektantów obserwatorium – prof. Witolda Lipińskiego.

Witold Lipiński urodził się 14 listopada 1923 roku w Kossakach, w gminie Jedwabne. Pochodził z patriotycznej rodziny, podobnie jak jego brat i ojciec należał w czasie wojny do Inspektoratu Łomżyńskiego Armii Krajowej. Niemiecka okupacja nie pozwoliła mu



zakończyć gimnazjum, zamiast tego uczęszczał do szkoły konspiracyjnej. Szeregi AK opuścił w 1946 roku kiedy to po zdaniu matury wyjechał na studia do Wrocławia. Lipiński zainteresowany był w szczególności naukami przyrodniczymi, jednak na architekturę miała go namówić jego nauczycielka, ponieważ w zrujnowanej Polsce rosło zapotrzebowanie na specjalistów w dziedzinie budownictwa.

Lipiński zakończył studia w 1950 roku i praktycznie całe swoje zawodowe życie związał z Wydziałem Architektury Politechniki Wrocławskiej, na którym w późniejszych latach piastował stanowiska kierownicze.

Kierunek jego badań wyznaczyła praca doktorska zatytułowana „Zastosowanie płomieniowych natrysków szkliw ceramicznych do barwnych powłok w architekturze”,



"Igloo", Wrocław, dom własny architekta



którą obronił w 1956 roku. Praca pt. „Powłokowe formy sklepieniowe” pozwoliła mu uzyskać tytuł profesora 23 lata później.

Jego badania można uznać za pionierskie w dziedzinie architektury ekologicznej. Lipiński interesował się architekturą współgrającą z otaczającą ją przyrodą, zarówno pod względem funkcjonalnym, jak i estetycznym. Eksperymentował z organicznymi, futurystycznymi

kształtami budynków, a następnie badał mikroklimat w poszczególnych miejscach wnętrza, tak aby stworzyć optymalne i naturalne środowisko do mieszkania, niezależne od warunków zewnętrznych.

W projektowaniu uwzględniał także czynniki energetyczne. To z jego inicjatywy w latach 70. powstała we Wrocławiu Szkoła Architektury Bioklimatycznej. Zanim rozwinął się w stronę futurystycz-



"Igloo", Wrocław



nych projektów, zaczynał od rzeczy bardziej przyziemnych. Był częścią zespołu Mariana Tunikowskiego, który projektował Kościuszkowską Dzielnicę Mieszkańową.

Lipiński zaprojektował m.in. socrealistyczne fasady od strony ul. Piłsudskiego, a także wnętrze kawiarni KDM. Zajmował się także unowocześnianiem i adaptacjami przedwojennych budynków, m.in. wrocławskich kamienic czy ośrodka

wypoczynkowego Orlinek w Karpaczu. Zaprojektował też modernistyczny ośrodek wypoczynkowy Politechniki Wrocławskiej w Ustce.

Miejsce w historii architektury zapewniły mu jednak głównie jego dokonania z lat 60. Obserwatorium meteorologiczne na Śnieżce, którego był głównym projektantem, szybko stało się jednym z najbardziej rozpoznawalnych obiektów w Polsce. Potwierdzeniem wysokiej



"Grzybek", Wrocław





klasy projektu było prestiżowe wyróżnienie na Światowej Wystawie Architektury w Meksyku.

Szerokim echem odbiły się też kosmiczne realizacje domów jednorodzinnych we Wrocławiu. Na osiedlu Zacisze powstały dwa domy nazwane „Igloo”, przy czym jeden z nich był domem własnym architekta. Kolejny futurystyczny dom, tak zwany „Grzybek”, wzniesiony został przy ul. Wyścigowej. Co cie-

kawe, architekt nie mógł znaleźć wykonawców, którzy podjęliby się wykonania futurystycznych brył, przez co część prac budowlanych musiał wykonać sam.

Wyraźne inspiracje architekturą organiczną widać też w zaprojektowanych przez niego ośrodkach rekreacyjnych w Zagłębiu Miedziowym. Ośrodek wypoczynku świątecznego Huty Legnica w Rokitkach, to dwa brutalistyczne kręgi



Małomice



betonowych domków letniskowych, a także wiele wolnostojących obiektów o łukowych dachach, również wykonanych z betonu.

Basen w Małomicach (obecnie dzielnica Lubina) to natomiast klasyczny modernistyczny obiekt, w którym mieściły się szatnie i kawiarnia, a także niecka kąpielowa ze zjeżdżalnią o bardzo zgrabnym kształcie. Niestety oba ośrodki lata świetności mają za sobą,

zwłaszcza basen małomicki, który jest obecnie w kompletnej ruinie.

Bogate życie Witolda Lipińskiego to także pasja do lotnictwa. Kariery pilota nie mógł rozwinąć ze względu na wypadek w młodości, jednak jeszcze w szkole konstruował modele samolotów. Ostatecznie stanęło na lataniu szybowcami. W 1958 roku podczas jednego z lotów zderzył się z szybowcem swojego instruktora i musiał wykonać



Rokitki



pierwszy i ostatni skok spadochronowy w życiu. Pasja do latania odcisnęła się też na jego architekturze, gdyż to właśnie z szybowca architekt miał dostrzec kształty formacji skalnych, które zainspirowały go przy projektowaniu obserwatorium na Śnieżce.

Witold Lipiński zmarł 23 czerwca 2005 roku, otrzymując za życia m.in. Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Walecznych,

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski czy Medal Komisji Edukacji Narodowej. [•]

Autor hobbystycznie zajmuje się "architekturą, która nie przepasza" czyli modernizmem (głównie powojennym), brutalizmem i ich pochodnymi. Najbardziej interesuje się regionem sudeckim wraz z przedgórzem. W tym miejscu spotkał się ze swoim drugim zainteresowaniem, czyli fotografią, czego efekty wrzuca na Instagram (@maciejdu-siciel) i Facebook (@architekturaktora-nieprzepasza). Z wykształcenia jest urbanistą, a zawodowo zajmuje się projektowaniem mebli i stoisk targowych.



Rokitki



Hotel Sudety w Wałbrzychu



# SUDECKI MODERNIZM

tekst i zdjęcia **Maciej Czarnecki**

**B**aza turystyczna polskich Sudetów to nie tylko przedwojenne wille i drewniane schroniska, ale także cała gama obiektów modernistycznych. Dzięki powszechnemu stosowaniu zbrojonego betonu oraz dużych tafli szkła, można było uzyskać dotychczas nieznanne formy, przełamujące stereotypy o uniformizacji architektury PRL.

## HOTEL SUDETY W WAŁBRZYCHU

Wałbrzych, jako świeżo upieczone miasto wojewódzkie, potrzebował hotelu z prawdziwego zdarzenia. W momencie powstawania hotel "Sudety" był największy na Dolnym Śląsku. Zatrzymywali się tu znani sportowcy czy gwiazdy estrady. Niektórzy do dziś wspominają słynne imprezy, które nieco wy-

mykały się spod kontroli. Hotel otwarto w 1971 roku. Wałbrzych wówczas przekroczył już 100 tys. mieszkańców, a władze szacowały dalszy wzrost, o co najmniej drugie tyle. Zbliżyły się także najlepsze lata dla wałbrzyskiego sportu.

W hotelu znajdowały się 284 pokoje, bar, restauracja, fryzjer,



pralnia czy Pewex. Każdy pokój miał łazienkę, telefon i telewizor. Na tamte czasy był to luksus.

Bryła głównego budynku to prostopadłościan, o powtarzalnym rytmie okien, pod którymi znajdowały się horyzontalne, ceramiczne pasy. Największe wrażenie robiła jednak efektowna, ekspresyjna wariacja na temat arkad, która stanowiła dach dla strefy wejściowej oraz

budynku restauracji. Wkrótce w pobliżu stanęły także rzeźby wykonane w ramach Wałbrzyskiej Galerii Rzeźby Plenerowej, kierowanej przez wałbrzyską artystkę Marię Bor.

Transformacja ustrojowa okazała się bezlitosna dla tego obiektu. Hotel Sudety stopniowo podupadał, aż w 2004 roku został definitywnie zamknięty.





O.W. Orlen w Karpaczu Górnym







## O.W. ORLEN W KARPACZU-BIERUTOWICACH

Ośrodek Orlen powstał w połowie lat 70. jako ośrodek wypoczynkowy dla pracowników zakładów lniarskich „Orzeł” znajdujących się w niedalekich Mysłakowicach. Architekt budynku, Maria Hanna Molińska, stworzyła wielokrotnie rozczłonkowaną bryłę, o ostro zakończonych, rytmicznie ułożonych kalenicach, które stopniowo układają się w kaskady wraz z przybywaniem kolejnych pięter budynku. Od strony ulicy zastosowano stromy dach schodzący niemal do poziomu

jezdni, a wejścia do budynku prowadzą przez kładki przełożone nad wewnętrzną drogą serwisową. Balkony w pokojach wykończone zostały drewnianymi balustradami, i zapewniają wspaniałą widok na Śnieżkę i Kopę. Elewację wykończono szarym, chropowatym tynkiem i okładziną z kamieni. Hotel wciąż działa, już pod inną nazwą, jednak z zewnątrz jest zachowany w niemal idealnym stanie.







## STOŁÓWKA FWP W SOSNÓWCE

Pawilon w kształcie rotundy, położony malowniczo w zakolu jednej z serpentyn po drodze z Borowic do Sosnówki. Mieścił dawniej stołówkę dla czasowiczów wypoczywających w ramach wakacji zakładowych w okolicznych ośrodkach. Zaokrąglona fasada parterowego budynku została wykonana drobną mozaiką z zielonych płytek a rytm okien podzielono tzw. „żyletkami”, czyli wąskimi, pionowymi panelami wystającymi przed lico fasady. W środku znajdował się jeszcze wewnętrzny dziedziniec. Niestety obiekt został zamknięty ok. 2010 roku i bardzo szybko wandalę doprowadzili go do ruiny. Z rotundy ukradziono już wszystko, co tylko się dało, co pozbawia jakichkolwiek nadziei na przywrócenie stołówki do funkcjonowania.



## WYSOKOGÓRSKIE OBSERWATORIUM METEOROLOGICZNE NA ŚNIEŻCE

Konkurs SARP na budowę nowego obserwatorium na Śnieżce wygrał duet architektów z Politechniki Wrocławskiej – Witold Lipiński i Waldemar Wawrzyniak. Szczególnie ten pierwszy dał się poznać jako miłośnik nowatorskich, futurystycznych konstrukcji (piszemy o nim w osobnym artykule). Budowla powstała w latach 1966-74 i składa się z trzech dysków, połą-

czonych ze sobą na różnych poziomach. W jednym z dysków znajdowała się także restauracja, zamknięta do odwołania w 2015 roku.

Charakterystyczny kształt dysków obserwatorium miał być inspirowany epoką kosmiczną. Na przełomie lat 50. i 60. temat podboju kosmosu fascynował ludność na całym świecie, pojawiały się też doniesienia o zaobserwowanych





niezidentyfikowanych obiektach latających. Sposób zestawienia ze sobą dysków miał mieć natomiast źródło w indywidualnych obserwacjach architektów, którzy zauważyli w Karkonoszach charakterystyczne skupiska obłych kamieni.

Forma budynku znalazła jednak także swoich krytyków. Budowli zarzucano głównie brak nawiązań do historycznej architektury sudeckiej. Z drugiej strony, obserwatorium wraz z futurystycznymi

obiektami po czeskiej stronie Sudetów stworzyło nowy nurt w architekturze regionu.

Niestety trudne warunki pogodowe na najwyższym szczycie Sudetów spowodowały uszkodzenia konstrukcji, która pomimo kosztownych remontów wciąż wymaga nakładów. Dziś już chyba trudno wyobrazić sobie Śnieżkę bez tej kosmicznej konstrukcji, a ona sama stała się jednym z symboli Karkonoszy.

[C.D.N.]





# EPIDEMIA TYFUSU W ŚWIEBODZICACH

tekst Rafał Wietrzyński

**Ż**ycie w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu w 1945 roku nie było zbyt bezpieczne. Polityczna walka o władzę oraz szaber poniemieckiego mienia dokonywany przez ludność cywilną i armię radziecką przeplatały się z codziennym brakiem produktów pierwszej potrzeby.

W Świebodzicach brakowało żywności, wzrastały problemy mieszkaniowe, niewystarczające było również zaopatrzenie miasta w wodę zdatną do picia.

Na dodatek w granicach Świebodzic rozprzestrzeniła się wówczas bardzo groźna epidemia tyfusu,

która pozostawiła po sobie przykry obraz tamtych lat. Nie wiadomo dlaczego Świebodzice wtenczas jako jedyne na Dolnym Śląsku tak drastycznie, odczuły skutki szalejącego tyfusu. Aby zwalczyć chorobę trzeba było miasto zupełnie odciąć od świata.



Szczelny kordon wojska na kilka tygodni otoczył Świebodzice i nie wpuszczał do nich nikogo. Również pierwsze powojenne władze, z burmistrzem na czele, były zmuszone opuścić miasto. Na drzwiach wielu domów widniał wówczas napis w języku niemieckim: *Tyfus! Nie wchodzić!*, a na ulicach i po kątach domów wałyły się trupy zmarłych w wyniku epidemii.

Dziś trudno oszacować dokładną liczbę ofiar szalejącego w tamtych czasach pomoru, chociaż niektóre przekazy wskazują na zgon nawet kilku tysięcy osób! Wiadomo jednak, że byli to głównie Niemcy, których ciała chowano w olbrzymich zbiorowych mogiłach na terenie dwóch cmentarzy (przy ul. Wałbrzyskiej i ul. Jeleniogórskiej). Nikt wtedy nie pokusił się nawet o polichenie zmarłych, ani tym bardziej o spisanie ich tożsamości.

Tych, którzy zmagali się z chorobą, gromadzono na terenie szpitala, byłej SP nr 2 oraz w pomieszczeniach „Caritasu”. Świebodzice zmagaly się z szalejącym tyfusem

przez około dwa miesiące. Aby przekonać się, jak dramatyczna sytuacja panowała w Świebodzicach, przytoczmy fragment książki „Ucieczka od zapachu świec” Krysstyny Pająkowej (Warszawa 1965), która w owych dniach była sanitariuszką w Świebodzicach:

*Tyfus szerzył się niepokojąco, że nie było innej rady. Wojsko musiało otoczyć miasto (...) Przez kilka dni, po zamknięciu miasteczka, przez megafon umieszczony na dachu sanitarki Armii Czerwonej wzywałam ludność do ujawniania chorych. W bezdennej ciszy, która opanowała miasteczko, powtarzałam ciągle na nowo te same słowa: Achtung, Achtung... (...) Oprócz lekarzy i nas, cała ludność Świebodzic była przecież niemiecka. Szpital zapelniał się chorymi jeszcze przed blokadą, a przybywało ich z godziny na godzinę.*

*Już na drugi dzień nie było miejsca w przygotowanych przez nas domach. Zajęliśmy szkołę i tam układaliśmy chorych na materacach, na ziemi, łóżek już*



*zabrakło. I te pomieszczenia zapęłniły się do południa (...) Ludzie umierali jak muchy, jeden za drugim, kobiety, dzieci i starcy – śmierć nie wybierała.*

*Poznałam każdy kamień na drogach świebodzičkih. Dźwigając nosze, trzeba było dobrze patrzeć pod nogi, żeby się nie potknąć. Trudno by mi było powiedzieć cokolwiek o tym mieście. Widziałam tylko chorych, widziałam nędzę ludzi starszych, wygłodzonych i ubogich (...) Trupy, ciągle trupy! Od rana do wieczora nic, tylko trupy – skarżyła się Marianna. Mam tego po dziurki w nosie (...) Marianna jeździła olbrzymią platformą, do której był zaprzężony stary, ślepy koń pocztowy, po chodniku zbierała trupy. Koń miał przyczepiony do szyi dzwonek, że-*

*by wszyscy słyszeli i wynosili przed domy umarłych. Marianna miała jednego pomocnika, na wópól obłąkanego Niemca. Zbierali trupy od rana do wieczora. Jak zapęlnili platformę, wywozili ją na cmentarz, a tam jeńcy niemieccy kopali i chowali umarłych. My szukaliśmy żywych, żeby zrobić dla nich wszystko, co można. Kiedy wracaliśmy do domu nie mieliśmy już ochoty ani siły na rozmowy (...) Każdy, jeżeli tylko było to możliwe, zamykał się gdzieś, byle dalej od świata i tyfusu.*

Dramatyczną sytuację na terenie Świebodzić udało się opanować dopiero z końcem 1945 roku.

Niektórzy badacze mają dziś wiele zastrzeżeń co do samej liczby ofiar tyfusu i są skłonni przyznać, że nie było epidemii na tak wielką





skalę. Zachowana do dziś „Miejska księga zgonów miasta Świebodzice” z 1945 roku odnotowała tylko 73 przypadki śmierci osób zarażonych tyfusem. Z drugiej jednak strony relację Krystyny Pająkowej o dużej skali zachorowań na tyfus podziela kilku pionierów (pierwszych osadników polskich), którzy zaraz po zakończeniu wojny zaczęli się osiedlać na terenie Świebodzic. Wśród nich jest m.in. Brygida Wielgosz (ur. w 1935 roku w Pełcznicy), która swoje pierwsze powojenne miesiące w Świebodzicach wspomina tak:

*Po wojnie w mieście zapano-  
wała epidemia tyfusu. Nie było  
w okolicy żadnego personelu me-  
dycznego. Jedyne szpital w mieście  
był bardzo przepełniony. Postano-  
wiono na ten cel zaadoptować wil-*

*łę Beckera przy ulicy Siennej oraz  
jedno gospodarstwo nieopodal.  
Chorych przywożono wozami. Nie  
było też lekarstw. Wiele osób  
umarło. W mojej rodzinie zacho-  
rowała siostra, mama i ojciec.  
Siostrze nie udało się przeżyć i zo-  
stała pochowana na cmentarzu  
przy ulicy Jeleniogórskiej.*

Kolejne lata po II wojnie świa-  
towej nie odznaczyły się już śmier-  
telnymi epidemiami na taką skalę.  
Zdarzały się jednak w powojennej  
historii naszego miasta akcje wiel-  
kich szczepień – jak w 1963 i 1986  
roku – które miały ustrzec nas  
przed pojawiającymi się groźbami  
niebezpiecznych chorób. [•]

Autor z wykształcenia jest ekonomistą,  
a z zamiłowania historykiem. Napisał kilka  
książek oraz kilkudziesiąt artykułów o historii  
regionalnej, dotyczących głównie przeszłości  
rodziny Świebodzic i najbliższych okolic.



Po prawej (jasny budynek) Willa na Cichej, dawny DW "Belweder I", wcześniej Haus Anna-Maria.  
Po lewej (ciemny budynek) dawny DW "Belweder VI", wcześniej Villa Vierlinden.  
fot. Wojciech Głodek, 26 maja 2016 roku



# DOMY WCZASOWE FWP W KARKONOSZACH

tekst **Karolina Matusiewicz-Górniak**

**D**om czasowy jest naszym wspólnym związkowym domem. Pragniemy więc, abyś czuł się w nim jak u siebie i abyś chętnie do niego co roku powracał – pisał w „Informatorze FWP” z 1968 roku Wacław Łazuchiewicz, dyrektor naczelny FWP.

Fundusz Wczasów Pracowniczych, który w czasach Polski Ludowej organizował wypoczynek dla Polaków, najwięcej ośrodków posiadał na tzw. „Ziemiach Odzyskanych”. Szklarska Poręba, Karpacz, Świeradów Zdrój oraz okoliczne wioski dysponowały zachowaną po

wojnie w bardzo dobrym stanie infrastruktura hotelową, dlatego tak wiele budynków przejął pod swój zarząd FWP.

Choć Fundusz Wczasów Pracowniczych utworzono już w 1945 roku (przy Komisji Centralnej Związków Zawodowych), to jednak



jego początkowa rola ograniczała się do rozdysponowywania pieniędzy i nadzorowania instytucji oferujących wypoczynek.

W 1947 roku FWP posiadał zaledwie 7 domów wypoczynkowych. W lutym 1949 roku uchwalono ustawę o Funduszu Wczasów Pracowniczych, na mocy której Fundusz otrzymał wyłączność na organizowanie wczasów pracowniczych dla członków związków zawodo-

wych (dotowanych z budżetu państwa).

Już rok wcześniej FWP zaczęło przejmować domy wczasowe od branżowych związków zawodowych, a w połowie 1949 roku posiadało 520 obiektów wypoczynkowych. Komisja Centralna Związków Zawodowych opracowała szczegółowe instrukcje, jak powinien być zorganizowany wypoczynek. Wytyczne dotyczyły nawet ustawienia



Haus Anna-Maria, 1930



stołów w jadalni czy menu śniadaniowego.

Początkowo utworzono cztery Dyrekcje Okręgowe FWP, ale w połowie lat 50. XX wieku powstało dwadzieścia Zarządów Okręgów Wczasowych, z czego dziewięć na Dolnym Śląsku (Szklarska Poręba, Karpacz, Cieplice Śląskie-Zdrój, Świeradów-Zdrój, Kudowa-Zdrój, Łądek-Zdrój, Międzygórze, Szczawno-Zdrój i Polanica-Zdrój). Tutaj

zlokalizowane było prawie 60% ogólnopolskiej bazy wczasowej, a niezniszczona wskutek wojny infrastruktura noclegowa była łatwym łupem dla szabrowników i kierowników ośrodków z centralnej Polski.

Często FWP przejmowało już ogołocone budynki, początkowo był problem np. z zastawą stołową czy utrzymaniem czystości. Przekazywane środki na remonty były nie-



Villa Vierlinden, 1927



wystarczające, a kreatywność personelu próbowano pobudzić wprowadzając współzawodnictwo między poszczególnymi domami wczasowymi.

Aby wyjechać na wczasy z FWP, należało uzyskać skierowanie. Początkowo przywilej tej przysługiwał przodownikom pracy, nowatorom, mistrzom oszczędności i pracownikom umysłowym zasłużonym dla przemysłu. Skierowania

rozprowadzały komórki FWP, które działały przy radach związków zawodowych. Wiadomo, że w praktyce o wielu kwestiach decydowały układy i znajomości. Ideą było, aby w czasie wypoczynku przy jednym stole spotykali się zwykli robotnicy, inteligenci i dyrektorzy.

W pierwszych latach działalności FWP na urlop kierowano danego pracownika bez rodziny, co w połączeniu z faktem, że wielu lu-



1549

Hotel Schenkenstein  
Ober-Schreiberhau (Riesengebirge)



FWP Bożena (na pierwszym planie po prawej), obecnie jedyny dom wczasowy podlegający FWP w Szklarskiej Porębie (fot. Wojciech Głodek, 26 września 2019 roku). Na poprzedniej stronie FWP Bożena jeszcze jako Hotel Am Schenkenstein, lata 30. XX wieku.



dzi dotąd nigdy nie opuszczało rodzinnych stron, nie posiadało walizki czy piżamy, powodowało, że perspektywa wczasów wcale nie cieszyła. Samotny wyjazd w nieznanne był wręcz karą, a nie nagrodą za wzorową pracę.

W latach 50. i 60. obywatele nauczeni ciężkiej pracy na wsi, w kopalniach czy fabrykach nie wiedzieli, co robić z wolnym czasem na wakacjach. Dlatego ważną rolę

w aklimatyzacji społecznej w ośrodkach wczasowych spełniał tzw. „kaowiec”, czyli referent kulturalno-oświatowy. Za zadanie miał umilać pobyt wczasowiczom, organizować rozrywki (m.in. wieczorki zapoznawcze, dancingi, ogniska, zawody sportowe), a także propagować treści ważne dla władzy (np. pogadanki polityczne, spotkania z przodownikami pracy, nauka pieśni rewolucyjnych). Z biegiem



Kuranstalt Hochstein (Sanatorium Wysoki Kamień), 1935

*Kuranstalt Hochstein der RKV,  
Ober-Schreiberhau | Rsgb.*





lat rola kaowca ograniczyła się już tylko do organizacji dobrej zabawy.

FWP organizował różne formy wczasów, m.in.: 14-dniowe wczasy zwykłe lub rodzinne, wczasy świąteczne, 21-dniowe wczasy lecznicze, 7-dniowe wczasy miejskie, a nawet 7-dniowe wczasy krajoznawcze statkiem po Wiśle.

Każdego roku wydawano „Informator FWP”, w którym znajdowały się najważniejsze informacje

o Funduszu, wytyczne i regulaminy, a przede wszystkim wyszczególnione były i pokrótce opisane wszystkie domy wczasowe.

Na Dolnym Śląsku najwięcej ośrodków FWP było w Szklarskiej Porębie. Poniemieckie pensjonaty i sanatoria przekształcono w perełowskie oazy wypoczynku. W Szklarskiej Porębie w szczytowym okresie działało 25 domów wczasowych, jednak większość



Dawny DW Zdrowie / fot. Karolina Matusiewicz-Górniak, 22 maja 2020 roku



z nich posiadała kilka budynków. Oferowały wczasy różnych kategorii i o różnym standardzie. Były to:

- DW „Belweder” (ul. Cicha 2) – 6 budynków
- DW „Bożena” (ul. Jedności Narodowej 18) – 4 budynki; obecnie to jedyny dom wczasowy podlegający FWP w Szklarskiej Porębie
- DW „Chmielnik” (ul. Świerczewskiego 28, obecnie ul. Franciszkańska 21) – 3 budynki
- DW „Górnik” (ul. Wojska Polskiego 11) – 3 budynki
- DW „Jaś i Małgosia” (ul. Turystyczna 21) – 3 budynki

Haus Sunem w 1932 roku, późniejszy DW "Siła"





- DW „Janosik” (ul. Objazdowa 2) – 4 budynki
- DW „Jutrzenka” (ul. Podgórze 14) – 3 budynki
- DW „Konwalia” (ul. Dolna 4) – 3 budynki
- DW „Krokus” (ul. Szosa Czeska 4)
- DW „Niespodzianka” (Partyzantów 7) – 2 budynki
- DW „Odrodzenie” (ul. A. Mickiewicza 25) – 4 budynki
- DW „Perła” (ul. Kilińskiego 8) – 4 budynki
- DW „Pod szczytami” (ul. E. Orzeszkowej 6) – 4 budynki
- DW „Polanka” (ul. Armii Czerwonej 20, ob. ul. Izerska 20) – 3 budynki

DW "Siła" / fot. Karolina Matuszewicz-Górniak, 22 maja 2020 roku





Willa Husarz, dawny DW Zacisze / fot. Wojciech Głodek, 25 maja 2014 roku



- DW „Poznanianka” (ul. Armii Czerwonej 24, ob. ul. Izerska 24) – 6 budynków
- DW „Promień” (ul. Wolności 16) – 2 budynki
- DW „Raszyn” (ul. G. Morcinka 2) – 7 budynków
- DW „Siła” (ul. A. Mickiewicza 19) – 4 budynki
- DW „Szarotka” (ul. S. Okrzei 5, ob. ul. S. Okrzei 19) – 4 budynki
- DW „Szkłarka” (ul. Dzierżyńskiego 18, ob. ul. 11 Listopada 18) – 3 budynki
- DW „Wanda” (ul. Kolejowa 13) – 5 budynków
- DW „Wielkopolanka” (ul. Wiejska 4) – 3 budynki
- DW „Wisła” (ul. Waryńskiego 7) – 4 budynki
- DW „Zacisze” (ul. Kilińskiego 18) – 6 budynków
- DW „Zdrowie” (ul. J. Słowackiego 15)

# Landhaus Neuheleneufels

675 Meter hoch, unter obigem gelegen.

Besitzer beider Kommerzienrat **HOFFMANN.**



Reklama Landhaus Neuheleneufels z 1902 roku, późniejszego DW Zacisze



Hotel Sasanka (w głębi w po lewej) i dawny DW Zdrowie (po prawej)  
fot. Wojciech Głodek, 26 maja 2016 roku



Ponadto w Szklarskiej Porębie działały klubokawiarnie FWP: „Kaprysty” (ul. Jedności Narodowej 12), „Sasanka” (ul. Juliusza Słowackiego 4) oraz „Wanda” (ul. Kolejowa 13), a także kawiarnia „Kaczęta” (ul. 1 Maja 19). Było kino (ul. Franciszkańska 1, budynek wyburzono w grudniu 2016 roku), muszla koncertowa w parku (służy do dzisiaj), wypożyczalnia sprzętu i biblioteka centralna FWP.

Po zmianach ustrojowych i prywatyzacji złote czasy FWP minęły, dla wielu budynków niestety bezpowrotnie. Wyeksploatowanie i brak remontów w połączeniu z nową rzeczywistością przyniosły kres domom wczasowym, Niektóre nadal pełnią funkcję noclegową, inne przekształcono na budynki mieszkalne, a te, które miały mniej szczęścia, puste popadają w ruinę albo zostały już wyburzone.



Gaststätte Weißbachhof w początkach XX wieku, późniejsza klubokawiarnia "Sasanka", przebudowana na hotel "Sasanka" na początku XXI wieku.



W świadomości mieszkańców Szklarskiej Poręby wciąż jeszcze obecne są dawne nazwy i w rozmowach zamiast adresu padają informacje: „koło Belwederu”, „obok Zdrowia”, „tam gdzie stały Perły”.

Z perspektywy czasu i zmian ustrojowych ludzie doceniają chyba najważniejszy aspekt wczasów z FWP – były one tanie, bo w znacznej mierze finansowane przez fundusz socjalny. Może nie było

tam luksusów jak w pięciogwiazdkowych hotelach, ale i tak większość Polaków z rozrzuwaniem wspomina tamten czas. [C.D.N.]

Autorka z wykształcenia jest historykiem i kulturoznawcą, obecnie jest kustoszem w Muzeum Miejskim "Dom Gerharta Hauptmanna" w Jenieniej Górze - Jagniątkowie. W kręgu jej zainteresowań centralne miejsce zajmuje historia Karkonoszy (zwłaszcza po 1945 roku) - przeobrażenia społeczne i kulturowe, adaptacja mieszkańców i "oswajanie" Ziemi Odzyskanych, rozwój turystyki w czasach PRL.

Zdjęcia historyczne: [fotopolska.eu/polska-org.pl](http://fotopolska.eu/polska-org.pl)



Hotel Bosman (po lewej z tyłu), dawny DW Raszyn  
fot. Wojciech Głodek, 30 września 2018 roku





Pension Schindler w 1934 roku, późniejszy DW Raszyn,  
obecnie hotel Bosman w Szklarskiej Porębie



# LEŚNA KOPALNIA I ELEKTROWNIA

tekst Łukasz Borowczak

**O**statnio w turystyce coraz większym zainteresowaniem cieszą się miejsca wcześniej nietraktowane w ogóle w kategoriach atrakcji turystycznej. Począwszy od, brzmiącej jak kuriozum, tanatoturystyki do niebudzącej już dzisiaj żadnych zastrzeżeń turystyki industrialnej.

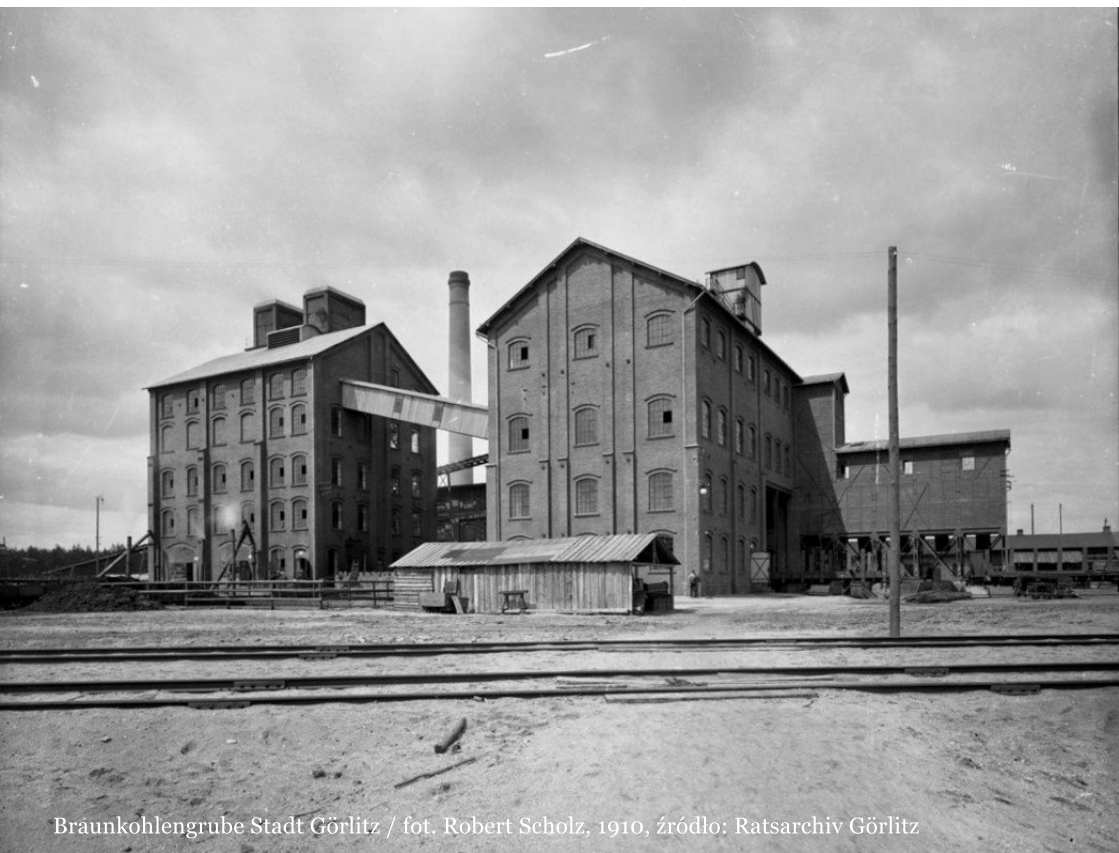
Sytuacja epidemiologiczna dorzuciła do tego dodatkowy aspekt – szukamy atrakcji turystycznych w miejscach odludnych i na uboczu.

W poszukiwaniu miejsca nieobleganego oczywistym wyborem jest las. Zwłaszcza ten największy w Polsce – Bory Dolnośląskie. Po-

siadają one wiele tajemnic i opuszczonych miejsc. I nadal są to miejsca słabo przez turystów spenetrowane. Las opowiedzieć może wiele historii. Jedną z nich jest opowieść o rozwoju i upadku pewnego śmiałego przedsięwzięcia w głębi puszczy.

Bory Dolnośląskie to największy zwarty kompleks leśny w naszym kraju. Liczy około 1650 km<sup>2</sup> powierzchni i rozciąga się między Żaganiem i Przemkowem na północy a Chojnowem i Zgorzelcem na południu. Nie wychodząc z lasu można powędrować znacznie dalej

na północ. To przecież marzenie amatorów samotnych wędrówek czy bushcraftu – możliwość wędrowania godzinami bezludnymi szlakami! Wewnątrz Borów znajduje się zaledwie kilka niewielkich miasteczek, wsi i osad najczęściej o rozproszonym charakterze.



Braunkohlengrube Stadt Görlitz / fot. Robert Scholz, 1910, źródło: Ratsarchiv Görlitz

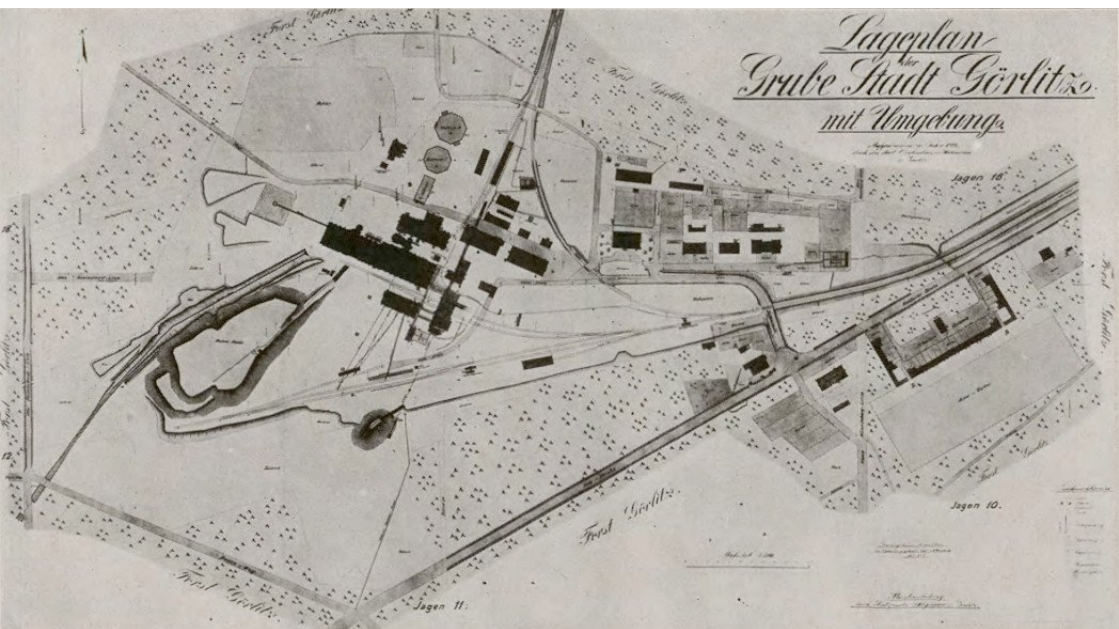
Ten zwarty, dziki charakter Bory zawdzięczają faktowi, że już we wczesnym średniowieczu były to rzadko zamieszkałe pustkowia, które z czasem stały się granicą między Górnymi i Dolnymi Łużycami a Śląskiem.

Obszar, o którym będzie mowa w tym artykule nazywany jest Puszczą Zgorzelecką. Jest to określenie historyczne. Początkowo miasto

Zgorzelec wykorzystywało niewielki fragment lasów pośród majątków skupionych w rękach Penzigów – potężnego lużyckiego rodu. Z czasem tzw. "państwo pińskie" słabło a ambicje mieszczan zgorzeleckich rosły. „Zgorzelczanie trzymają puszcę za ogon”. Tak kwitowała skupowanie kolejnych fragmentów lasu lokalna arystokracja.

W 1499 roku Władysław Jagiełłończyk przekazał miastu tereny

Plan kopalni węgla brunatnego i brykietowni  
 źródło: Monographien Deutscher Städte: Darstellung Deutsche Städte und ihrer Arbeit in Wirtschaft, Finanzwesen, Hygiene, Sozialpolitik und Technik. Bd. XIII, Görlitz 1925





pomiędzy Czerną Małą a Czerną Wielką i tym samym Puszcza Zgorzelecka stała się największym lasem miejskim w Rzeszy. Stąd też już w średniowieczu miasto Zgorzelec posiadało własną służbę leśną. Miała ona wówczas charakter nadzorczy. W XVIII wieku stworzono zarząd lasów miejskich oraz podzielono Puszcę Zgorzelecką na nadleśnictwa. Jednak to za rządów nadburmistrza Demianiego zgorzelecka służba leśna stała się nowoczesna i w pełni profesjonalna.

Wracając do historii: tak Penzigom, jak i rajcom zgorzeleckim zależało na zasiedleniu puszczańskich ostępów. Sprowadzano więc kolonistów z krajów niemieckich i ze Śląska. Mimo że przekazywano im jak najlepsze ziemie, do XVIII wieku żadna z puszczańskich wsi nie rozwinęła się nad wyraz szczególnie. Sytuacja zmieniła się, kiedy zaczęto na większą skalę wykorzystywać surowce naturalne, które kryła ziemia.

Bagniste łąki rodziły rudę darniową, którą wykorzystywano już

od średniowiecza. W XIX wieku łatwość pozyskania drewna i odpowiednio złoża piasków zdecydowały o dynamicznym rozwoju Pieńska. Jednak surowcem, który najbrutalniej wpisał się w historię Łużyc, stał się węgiel brunatny.

Brunicę (z górnołużyckiego) na Łużycach wydobywano już w XVIII wieku wykorzystując jej złoża płytko zalegające pod ziemią. Obok Worka Turoszowskiego kopalnie działały między Lubaniem i Zgorzelcem oraz Białą wodą i Mużakowem. Na przedmieściach Zgorzelca funkcjonowały: kopalnia „Friedrich Anna” na Ujeździe, kopalnia w Jerzmankach oraz sztolnie wokół wsi Berzdorf.

W tej ostatniej, w 1919 roku sposób wydobywania zmieniono na odkrywkowy, ale w 1927 roku ją zamknięto. Po wojnie wydobywanie wznowiono a także wybudowano elektrownię, która jednak w 1997 roku ostatecznie zakończyła działalność. Wyrobisko przekształcono w atrakcyjny akwen będący obecnie jedną z największych atrakcji Gör-



litz. Jedynym zabytkiem techniki, jaki pozostał po tym okresie, jest koparka czerpakowa na osiedlu Hagenwerder.

Dla pręźnie rozwijającego się XIX-wiecznego Zgorzelca obie kopalnie były niewystarczająco efektywne, a miasto potrzebowało coraz więcej paliwa i energii elektrycznej. Ponadto większość tych starszych zakładów wydobywczych była mało efektywna i niebezpieczna. Postęp wymagał wielkiej inwestycji i na nią miasto się zdecydowało.

Jako lokalizację dla nowej inwestycji wytypowano las 6 kilometrów na zachód od rozbudowywanego od połowy XIX wieku węzła kolejowego w Węglińcu. Miejsce wybrano dlatego, że w 1858 roku podczas kopania studni dla pobliskiego leśnictwa natrafiono na węgiel brunatny. Las należał też do miasta, więc nie trzeba było wydawać sporych sum na wykup gruntów. Ważna była też bliskość infrastruktury kolejowej.

Choć kombinat rozpoczął działalność w 1903 roku, to wydobywanie

węgla rozpoczęto dopiero dwa lata później, a produkcję energii elektrycznej w 1912 roku. Trzy turbogeneratory wytwarzały łącznie 16 megawatów. Szyb głębinowy ulokowany był 4 kilometry na północny zachód od elektrowni, z czasem uruchomiono też odkrywkę. Kompleks posiadał także brykietownię.

Dodatkowym atutem lokalnych złóż była pewna zawartość wosku ziemnego, zwanego woskiem Montana. Był on niegdyś szeroko stosowany w przemyśle tekstylnym, papierniczym, poligraficznym oraz zbrojeniowym. Elektrownia praktycznie z roku na rok zwiększała swoją wydajność. Wychodziły z niej dwie główne linie – jedna w kierunku Zgorzelca, druga w kierunku Niskiej.

Obok elektrowni ulokowano nie tylko budynki biurowe i socjalne. W bezpośrednim sąsiedztwie zakładu wybudowano osiedle dla pracowników. W 1929 roku administracyjnie przyłączono teren kombinatu do Węglińca, gdzie przeniesiono też dyrekcję. Przy

drodze z miasteczka do elektrowni powstało też kolejne osiedle górnicze. Na potrzeby pracowników kopalni domy powstały też we wsi Czerwona Woda, z której można było dostać się do pracy koleją.

Po zakończeniu II wojny światowej i ustaleniu nowych granic elektrownia znalazła się w Polsce. Kilkutygodniowe walki toczono na linii Pieńsk - Dłużyna Górna oraz wzdłuż rzeki Czernej Małej da-

ły się we znaki kombinatowi, który został zdewastowany. Elektrownię i kopalnię uruchomiono już w 1946 roku, ale brykietownię dopiero kilka lat później.

Rozruch kombinatu wspomagali polscy repatrianci pracujący wcześniej w kopalniach francuskich i belgijskich. Po pewnych przetworzeniach z nazwami przy kombinacie pozostała nazwa Kaławsk (tak tuż po wojnie nazwano niemiecki



Kohlfurt, czyli dzisiejszy Węgliniec) a zakład nie był już związany z polskim Zgorzelcem.

W latach 50. XX wieku dawną miejską elektrownię i kopalnię skonsolidowano w jedno przedsiębiorstwo z kopalniami w Siekierzynie i Trójcy. Z czasem te dwie

ostatnie zamknięto i wszystkie siły skupiono w Kaławsku.

Kopalnia, brykietownia i elektrownia zatrudniały w początku lat 60. XX wieku łącznie 800 osób! Wydobyte wynosiło 600 ton, brykietownia była w stanie przerobić 350 ton na dobę. Efektywność,



Budynki na Kolonii Górniczej w Węglincu / fot. Robert Scholz, 1928, źródło: Ratsarchiv Görlitz





choć niewielka przy turoszowskim gigancie, sprzyjała mieszkańcom, bo dzięki zyskom z niej standard życia mieszkańców Węglinca był bardzo wysoki.

Niestety dobra passa skończyła się w 1970 roku. 22 stycznia po południu woda wdarła się do sztolni upadowej Rygle II, gdzie pracowało 43 górników. Większość z nich zdołała się wydostać o własnych siłach, pomimo ciemności i potężnego ciśnienia wlewającej się wody oraz niesionych przez nią mas. Na pomoc pozostałym ruszyły drużyny ratownicze z Kaławska, Wałbrzycha, Turosszowa a nawet Konina. Niestety katastrofa kosztowała życie pięciu górników.

Po zakończeniu akcji ratowniczej starano się przywrócić produktywność kopalni. Wymyślono też śmiały plan. Elektrownia wytwarza ogromne ilości ciepła, które można wykorzystać nie tylko na ogrzanie tych kilku budynków na osiedlu wokół. Powstała koncepcja połączenia elektrowni z nowo powstałym w pobliskiej Dłużynie Górnej Pań-

stwowym Gospodarstwem Szklarniowym. Wybudowano nawet liczący niemal 4,5 kilometra rurociąg ciepłowniczy prowadzący przez las.

Śmiałe przedsięwzięcie miało jednak dwa mankamenty. Pierwszy spowodowany był zapewne oszczędnościami. Ciepłociąg poprowadzono nad ziemią nie zapewniając mu wystarczającej izolacji. Tym samym woda, dochodząc do szklarni, miała niewiele więcej niż kilkanaście stopni Celsjusza. Dodatkowo całe gospodarstwo ogrodnicze ulokowane zostało na stoku opadającym w kierunku południowo-zachodnim, ku Nysie Łużyckiej. Dobrodziejstwa korzystnej orientacji wobec słońca zostały dosłownie wywiane przez silne wiatry wiejące tu z zachodu.

Ta nieudana inwestycja stała się pewnie gwoździem do trumny. W 1972 roku zarządzeniem Ministra Górnictwa i Energetyki Kaławsk przyłączono do KWB Turów i wkrótce zamknięto.

W porównaniu z tym nowoczesnym gigantem niewielka i stara



elektrownia była nierentowna i po prostu zbudna. Na terenie zakładu działały później Zakłady Stolarstwa Budowlanej a obecnie - firma produkująca granulację do boisk sportowych. Oba przedsięwzięcia daleko z rozmachem do dumnej miejskiej elektrowni.

Wokół kopalni i elektrowni funkcjonuje też pewien mit. Głosi on, że zakład zamknięto, gdyż w katastrofie mieli zginąć więźniowie wykorzystywani tu do najcięższych prac i trzeba było sprawę zamieść pod dywan. Udało mi się jednak ustalić, że więźniowie pracowali wprawdzie w zakładzie, ale przy pracach pomocniczych na powierzchni.

Wyprawa do tego, co pozostało po kopalni i elektrowni powinna zainteresować przede wszystkim amatorów turystyki industrialnej i kontaktu z naturą. Miejsca opisane w powyższym tekście rozrzucone są na sporej przestrzeni, a część z nich leży głęboko w lesie. Najlepiej podjechać pociągiem do Węglińca (węzeł kolejowy na trasie

Zgorzelec-Wrocław, 20 minut od Zgorzelca), a następnie przesiąść się na rower.

Niedaleko dworca, przy ulicy Piłsudskiego 8, obok Nadleśnictwa, mieści się dawny budynek dyrekcji kopalni. Następnie należy skierować się na zachód i przy wylocie z miasteczka, po drugiej stronie DW296, można zobaczyć budynki mieszkalne dla górników.

Do Zielonki prowadzi asfaltowa szosa, ale warto z niej zjechać na północ i spróbować dalej jechać drogami leśnymi. W tym wypadku warto zaopatrzyć się w tradycyjną papierową mapę i zapoznać z tym, jakie informacje możemy odczytać ze słupków oddziałowych w lasach. Znacznie ułatwi to orientację, zwłaszcza, że GPS często w lesie traci sygnał. Mapy elektroniczne też nie zawsze biorą pod uwagę wszystkie leśne drogi. W efekcie notorycznie zdarza się, że nawet lokalni mieszkańcy tracą orientację i potrafią błędzić godzinami (a nawet jak pokazał przypadek sprzed kilku lat - całymi dniami!).

Tutaj warto nadmienić, że okoliczne lasy i w czasach początków elektrowni były wykorzystywane turystycznie. Na przykład na północ od szosy, na wzgórzu Wyżawa mieściła się kiedyś wieża widokowa. Pozostały po niej niestety tylko fundamenty oraz kamień upamiętnia-

jący Ernsta Gotthelfa Hüttiga, leśniczego, który rozpoczął stąd pomiary Puszczy Zgorzeleckiej. Ze wzgórza, zwłaszcza jesienią, rozciąga się piękny widok na Bory Dolnośląskie.

Z Wyżawy niedaleko już do Rygli I (odkrywkowej części kopal-





ni) i Rygli II (miejsce gdzie węgiel wydobywano głębinowo). Rozdziela je linia kolejowa. Po działalności ludzkiej pozostały tam jedynie relikty, a zdewastowany teren przejęła przyroda: znajdziemy tam interesującą roślinność wodną i torfowiskową. Spotkać można ptactwo wodne takie jak gągoły, cyraneczki, żurawie, perkozy czy zimorodki oraz leśne: trzmielojady, kobuzy, sóweczki i dzięcioły zielonosiwe. Stąd skierować możemy się drogami leśnymi w kierunku Zielonki.

Kominy dawnej elektrowni wiadać nawet z Góry Działoszyńskiej niedaleko Bogatyni. Cały zespół składa się z budynków elektrowni i brykietowni (obecnie przedsiębiorstwo produkcyjne), budynków socjalnych, biurowych oraz dwóch niewielkich osiedli mieszkalnych. Spod elektrowni dalej możemy wyruszyć w kierunku południowym,

trasą wytyczoną przez relikty nie-szczęsnego ciepłociągu, który doprowadzi nas gospodarstwa szklarniowego. Stąd, kierując się na wschód, a następnie na północ wrócimy do Węglińca. Po drodze poszukać możemy innego materialnego świadectwa przynależności lasu do miasta Zgorzeleca – willi, która do 1945 roku służyła jako pensjonat dla urzędników zgorzeleckiego magistratu.

Jeśli więc potrzebujecie dobrego pretekstu, aby wybrać się w miejsca, gdzie rzadko ktokolwiek zagląda, to historia powstania i upadku zakładu w Zielonce świetnie się do tego nadaje. Zwłaszcza że opisana trasa wiedzie głównie dobrej jakości drogami oddziałowymi i poprzez łagodny teren. Przygoda czeka, wystarczy się ruszyć. [•]

Autor jest pracownikiem Muzeum Łużyckiego w Zgorzelcu.

Materiały źródłowe:

Bena W., *Polskie Górne Łużyce*, Zgorzelec 2003

Bena W., *Dzieje Puszczy Zgorzelecko-Osiecznickiej*, Zgorzelec 2012

Skowroński J., Kuźniar A., *Brunatny skarb - „nowa Ameryka” na Łużycach*, cz. 3  
w: *Odkrywca* 10.2013 (177)

Praca zbiorowa, *Monographien deutscher Städte*, t. XIII Görlitz, Berlin 1925



# ZAPISKI I WSPOMNIENIA

Wspomnienia i pamiątki pozwalają pokazać subiektywny obraz miejsc, ludzi czy zdarzeń. Są częścią dziedzictwa kulturowego naszego regionu. Pozwalają zobaczyć czasy bliższe i te bardziej odległe z różnych perspektyw, często bardzo zależnych od osoby, która snuje opowieść. Nic nie jest czarne lub białe, otaczają nas szarości i półtony.



Lauban Bahnhof, 1905



Lauban Markt mit Rathaus, 1910

fragmenty dawnych pocztówek (x2) źródło: Fotopolska.eu



fot. ze zbiorów J. Kulczyckiego

110 | PRZYSTANEK DOLNY ŚLĄSK 4(25)/2019



# LUBAŃ OCZAMI PIONIERÓW

tekst Anna Łagowska, Marta Lupa

**W** 2006 roku powstał pomysł, by spisać wspomnienia starszych ludzi mieszkających w Lubaniu. Nie w ramach historycznej syntezy, ale w ramach oddawania głosu osobom, które widziały i doświadczyły tego, jak niemiecki Lauban stał się polskim Lubaniem.

Pokolenie osób, które po II wojnie światowej przybyły do miasta w wieku dojrzałym, właściwie już wtedy odeszło. Pozostali ci, którzy przyjeżdżali, mając mniej niż 20 lat, czasem jako przedwcześnie dojrzali młodzi i nastolatki, czasem wręcz jako dzieci. Realizacja

tego pomysłu okazała się dużym wyzwaniem, bo pamięć jest fenomenem kapryśnym i nieuporządkowanym.

Przed wszystkim wspomnienia nie zaczynały się w Lubaniu. O nie, każda wysłuchana historia zaczynała się „od początku”, na



Kresach, na Bukowinie, w centralnej Polsce, w rodzinnym miejscu zamieszkania. Finalnie okazało się to bardzo ważne, ponieważ od tego, z jakim bagażem doświadczeń przybywały tu osoby wspominające, zależało, co właściwie zobaczyły tu, na miejscu. Można mieć nawet wrażenie, że wybrane fragmenty wspomnień zabierają nas w podróż nie po jednym, ale po kilku różnych "Lubaniach".

## GRUZY – PIERWSZE WRAŻENIE

Obiektywnie, Lubań był miastem dotkniętym przez wojnę bardziej niż inne małe miasta na Dolnym Śląsku. Ostatnie zwycięstwo III Rzeszy było zwycięstwem pyrrusowym.

*– Lubań pamiętam cały zbity. Tu od kościoła, aż do stacji kolejowej, to było prawie w 90 procentach zbite wszystko – tak wspomni-*



fot. ze zbiorów J. Kulczyckiego





nał Stanisław Szymków, z tarnopolskiego (obecnie Ukraina), który w roku 1942 jako dwudziestolatek został wywieziony na roboty w okolicy Lubania.

Pan Stanisław był prawdopodobnie jedynym Polakiem, który widział wojenny Lubań z perspektywy cywila.

„Zbite” miasto przeraziło Marię Lesiak, piętnastolatkę, która wraz z rodziną przyjechała do Lubania ze Storożyńca na Bukowinie. – *To był jeden gruz, zwałisko niesamowite gruzu, po prawej, po lewej stronie, aż sięgając do kościoła św. Trójcy. Także było to dla mnie, jako dla dziecka lat kilkanaście, bardzo tragiczne. Bardzo. Tam na miejscu, ta miejscowość Storożyniec, to było bardzo ładne miasteczko. Wojna jest wojną, ale tyle gruzu, tak zniszczone miasto, jak zobaczyłam ten Lubań, to było straszne dla mnie – wspomina.*

Gruzy były przerażające, nie tylko jako świadectwo zniszczenia. – *Z Uniegoszczy do Lubania szło się po gruzach, po prawej, po lewej*

*stronie. To się człowiek bał, że ktoś zza tych gruzów wyskoczy i ewentualnie obrabuje czy pobije, bo zdarzały się takie rzeczy. Bano się tak zwanych dzisiaj chuliganów. Tych, którzy chcieli coś zyskać, okraść człowieka, czy coś w ten sposób. Tych należało się bać. Nie Niemców, którzy jeszcze mieszkali w niektórych miejscach, tu w Uniegoszczy, w Lubaniu. Zupełnie spokojnie było z nimi.*

Podobnie zszokowany zniszczeniem miasta był Stanisław Piotrowski, młody chłopiec ze stanisławowskiego (obecnie Ukraina), który całą wojnę przebywał na robotach w Bawarii.

Zupełnie inaczej zapamiętała swój przyjazd do Lubania inna ówczesna nastolatka – Eugenia Wielgus, łodzianka, która podczas wojny przebywała u rodziny w Warszawie. – *Świeci słońce, jest 15 maja, ja mam piętnaście lat. Jest przepiękna pogoda i z daleka widzę Śnieżkę. Ja w ogóle gór nie widziałam jako dziecko, no bo kiedy? W czasie wojny nie było po-*



*dróżowania, a Łódź jest płaska, Warszawa płaska. Byłam oczarowana tymi górami. Mnie w ogóle rozbity Lubań w gruzach nie straszyl. Ja już to widziałam i gorsze nawet, w Warszawie.*

Florian Lewandowski, który przybył z Kujaw z grupą kolegów, za pracą i przygodą, także wspomina, że dojeżdżając do Lubania był pod urokiem widoków za oknem. – *Pierwsze moje wrażenie to było*

*takie, że już jadąc do Lubania od Jeleniej Góry zobaczyłem bardzo malowniczy krajobraz. Górki, pagórki, domki, takie dachy czerwone z tej dachówki. Moje rodzinne strony to piasek i prosto. Te pagórki były takie bardzo... to mi się bardzo podobało. Ja mówię: tu jednak trzeba jakoś się zagospodarzyć. Pamiętam pierwszy krok, który postawiłem w Lubaniu. Pomimo, że były zniszczenia, tu coś*



fot. archiwum Łużyckiego Centrum Rozwoju



*tam postrzelane, tu kupa gruzów leży, tam kupa gruzów leży, ale mnie jakoś to się podobało. Było tu romantycznie.*

## **BRAMA DO NOWEGO ŚWIATA – ZNISZCZONY DWORZEC PKP**

W większości opowieści jako znaczące miejsce występuje dworzec PKP – tu zaczynała się przygoda z Lubaniem. Dla jednych bywało to miejsce ogromnych, nieporównywalnych z niczym innym wzruszeń, znajdowania zaginionych bliskich. Dla drugich – całkowitego skoku w nieznaną. Nic dziwnego, że miejsce to opisywane jest ze szczegółami niemal przez każdą osobę.

Wacław Lesiak z Buczacza (obecnie Ukraina) jako jedenasto-latek został wywieziony wraz z matką na Syberię. Wjeżdżając do Lubania w 1946 roku miał 17 lat, a za sobą trzyletnią katorgę w trzydziestostopniowym mrozie, głód, walkę o przeżycie, śmierć stryja i kuzyna, tułaczkę, dwuletnią pracę przymusową i łącznie ponad 10 tysięcy kilometrów podróży w wago-

nach. Ojca nie widział od czasu, gdy ten w 1939 roku poszedł na wojnę i trafił do niemieckiej niewoli.

*– I kiedy przyjechalśmy tu na dworzec tu w Lubaniu, rozbite tu wszystko było. Ja jestem, no, taki wszędobylski, wszędzie mnie było pełno – wyszedłem od razu. Mama z siostrą siedziały jeszcze w wagonie. I oni tam jeszcze w wagonie przebywają, a ja idę w kierunku rozwalonego dworca. Jakiś pan idzie naprzeciw mnie i się uśmiecha, a ja w rosyjskiej czapce, takiej uszance, w łachmanach takich, w spodniach, co kupiłem sobie za kradzioną pszenicę u ruskiego żołdata. I tak patrzy na mnie, a ja na niego. A ty jesteś moim synem – mówi do mnie. – A ja się rozplakałem.*

Spotkać ojca bardzo chciał także Mieczysław Pasternak z obwodu brzeskiego (obecna Białoruś). Przesiedlenie do Lubania przyjechał jako 19-latek.

*– Dworzec był rozbity. Tylko tam, gdzie teraz jest taki budynek z boku, tam była ubicacja, tam*



*zrobili kasę i tam sprzedawali bilety, kupa ludzi było i tak przy ścianach ludzie siedzieli z pakunkami. Masa ludzi była. Co sobie pomyślałem, kiedy zobaczyłem miasto? Wie pani, to nie było dziwne. Bo po froncie wiele miast było zniszczonych. Wioski były tak zniszczone, że tylko kominy stały, wszystko popalone i ludzie w ziemiankach byli.*

Na Pana Mieczysława na dworcu nikt nie czekał. Wiedział tylko, że od razu będzie musiał zacząć poszukiwania, bo dowiedział się z drugiej ręki, że jeśli ojciec żyje, to być może na tym terenie.

Niczym w bajce, niespodziewaną i szybką pomoc przyniosła mu rodzina ze Skierniewic, sąsiedzi z wagonu, którym sam pomógł wcześniej. Gdy zaprosili go na nocleg, bo na nich rodzina czekała z transportem i mieszkaniem, bardzo szybko rozmowa po nitce do kłębka pomogła znaleźć gospodarującego w gminie Leśna żołnierza, tak, że już nazajutrz Pan Mieczysław mógł zacząć nowy rozdział

i ostatni etap podróży. Jak zabawnie podsumował – pojechał z Leśnej, bo tak nazywała się stacja, gdzie zaczął podróż na Kresach, do Leśnej – bo w tej gminie osiedlił się ojciec.

## **PIERWSZE CHWILE W NOWYCH DOMOSTWACH**

Właśnie zasiedlenie, znalezienie lokum, zawsze jest drugim kamieniem milowym podróży. Czasem poprzedzone jest pomieszkowaniem u rodziny czy w przejściowych miejscach. Wiele zależało od tego, w którym momencie przyjechali nowi lubanianie oraz od tego, jakie mieli możliwości i plany.

Józef Knafel był szesnastym z kolei, polskim obywatelem Lubania. Młody i wykształcony kielczanin, szukający pracy, został przywieziony samochodem z Legnicy. To właśnie w Legnicy zgłosił się do dawnego, a ustosunkowanego znajomego, który zaproponował mu pracę i życie w Lubaniu.

*– Powiedziano nam, żebyśmy w Lubaniu szli do burmistrza.*



fot. ze zbiorów J. Kulczyckiego



*Burmistrz skierował nas na ul. Armii Krajowej 14. Ona się najpierw nazywała Szeroka. Mieszkanie było na pierwszym piętrze. Do dziś tu mieszkam.*

*Kiedy tu pierwszy raz przyszliśmy, drzwi były zamknięte. Ale stało krzeselko. Trzeba było na nie wejść, a potem dopiero do środka, do mieszkania. Zdewastowane to wszystko było, potłuczone. Nawet krzyż. W całym domu nas trzech mieszkało na początku. Myśmy w trzech zajmowali pięć pokoi, kuchnię i łazienkę. Ci, co tam wcześniej mieszkali, już dawno byli wysiedleni. Ale jedna kobieta tutaj przyszła po takie kosze plecione. Dość duże takie. To tam swoje szmatki miała. To po co nam to było, nie? – wspomina.*

*Pan Józef, jako najstarszy ze swojej grupy, został zastępcą starosty, jak opowiada, jego praca polegała głównie na organizacji zaopatrzenia. Wymiana ludności dokonywała się stopniowo.*

*– Polacy. Wszystko Polacy trzymali w rękach. A Niemcy to*

*tak powyjeżdżali pomału, pomału... Co dzień przybywali ludzie. W starostwie prawie wszystkie już stanowiska były obsadzone. Tu trzeba było wszystko budować od początku, tu nic nie było.*

*Na początku było 16 osób. Żeby się poznać, kto był Polakiem, a kto nie, bo Niemców przecież było bardzo dużo, to takie białoczerwone wstążeczki nosiliśmy. Ale to wiedział człowiek, do kogo się zwraca? Bardzo dużo było też takich z Polski, co przyjeżdżali tu po prostu kraść. Niszczyć, marnować. To specjaliści byli. Łobuzy, łobuzy... Wszystko brali. A przybываło 500, 800 ludzi dziennie.*

*Ze szczegółami te zasiedlenia opisywała Pani Helena Wieliczko z Brześcia (obecnie Białoruś), córka kolejarza. Dekretem PKWN powołano Państwowy Urząd Repatriacyjny (w skrócie PUR), który miał zająć się przemieszczeniem milionów ludzi z terenów wschodnich, na zachodnie, po zmianie granic Polski. Wszyscy przesiedleńcy musieli się zarejestrować w lokalnym*



oddziale PUR. Można było określić swoje kryteria, co do przyszłego mieszkania. – *Ojciec chciał, żeby było blisko dworca, bo całe życie pracował na kolei. Kiedy dostało się mieszkanie, za rzeczy w nim pozostawione przez Niemców trzeba było płacić. Mieszkanie najpierw dokładnie oglądał przedstawiciel PUR i zabierał, co uznał za stosowne, a resztę zostawiał dla przyszłych lokatorów. Wszystko,*

*co zostawił w mieszkaniu, trzeba było wpisać do formularzy jako mienie poniemieckie. Chodziło głównie o tzw. dobra ruchome, czyli: meble, obrazy, narzędzia, serwisy obiadowe. I za to trzeba było zapłacić. Opłaty naliczał Urząd Likwidacyjny. Jak pamięta pani Helena, nie były one wysokie, raczej symboliczne. W razie problemów finansowych można je było rozłożyć na raty.*



fol. archiwum Łużyckiego Centrum Rozwoju



– *Za darmo tam nic nie było* – jak podkreśla pani Helena. – *Mieszkania można było reklamować, jak się komuś nie spodobało. Wtedy przyznawano inne. Wszyscy myśleli, że ich tułaczka jeszcze nie jest skończona, że potrwa najwyżej rok i będzie można wrócić skąd się przyjechało. Mieszkania porównywano ze sobą, nie tylko ze względu na metraż czy na wyposażenie, ale też na dostęp do toalety.*

Rodzina Mertuszków ze Strzałkowic we lwowskim (obecna Ukraina) przyjechała późno – ostatnimi transportami w roku 1958. Świeżo zwolniony z sowieckiego wojska Antoni, jego młoda żona Stanisława i kilkumiesięczna Teresa w kołysce na biegunach.

– *Kiedy przyjechałem do domu z wojska, to gadali na dobre, że będzie wyjazd. I co niektórzy, sprytniejsi już sobie załatwiali.*



fol. archiwum Łużyckiego Centrum Rozwoju





*Było łączenie rodzin, ci, którzy byli już w Polsce, wysyłali zaproszenia, no i ludzie jechali. Dużo jechało już w 1956. Wtedy można było willę wziąć, a już rok później, dwa lata później, było gorzej, bo bardzo dużo najechało i o mieszkanie było trudno. Po przyjeździe mieszkaliśmy u wujka w Sulikowie.*

Antoni został kolejarzem, Stanisława umiała pracować na krosnach, więc zatrudniła się jako tkaczka. Pan Antoni wspominał, jak jechał do starego znajomego do Wrocławia oraz do rady wojewódzkiej, by tam spróbować polepszyć swój byt. Udało się, choć otrzymane mieszkanie na Rybackiej nie miało wymarzonego standardu.

Z pierwszymi repatriacjami nie przyjechali, bo ojciec Pana Antoniego miał niezłomną postawę wobec porzucania swojej ziemi, mało tego, jako nieformalny lider społeczności, nawoływał do tego samego całą wieś. Zmarł jednak w 1955 roku, wcześniej zdążywszy dostać wyrok 25 lat więzienia i konfiskaty majątku za sprzeciw wobec kolchozów.

## **PONIEMIECKIE, CZYLI JAKIE?**

Z czym kojarzyło się słowo „poniemieckie”? Czy znaczyło tylko „obce” czy również „złe”? Sprawa jest bardziej skomplikowana. Pan Florian Lewandowski wspomina: *Ci co byli przesiedleni, to musieli tu być, a mnie się spodobało. Przypomniało mi to opowiadania jeszcze ojca, jak był w Berlinie, w Breslau, w Leipzig. Tu wszystko tak było solidnie wykonane. Te mosty, te poręcze, nawet te zamykania od drzwi. Pomyślane. Zamykania od drzwi, które były, że się pchło drzwi, a drzwi się tam zahaczyły – prosta, prymitywna sprawa. Drzwi się pchło i tu był słupek taki, nie trzeba było żadnych haczyków, jak to się kombinuje w Polsce. Czy jakieś tam schody zabiegowe, jak się wchodziło do domu, czy te takie ozdoby, te drzwi, te kraty, poręcze. Tak mi się spodobał Lubań.*

Pani Natalia Podhajecka (przesiedlona w wieku 19 lat z miejscowości Raków Kąt, obecnie



Ukraina) krótko i dosadnie określa warunki bytowe po zasiedleniu.

– *Wszystko po pańsku. Bielutkie, czyściutkie, pościel czysta, okolica prosta, ładna, czysta, na wsi był porządek. Było to wszystko takie obce, nie wiedziało się, co to robić, no ale pomału, pomału, pomału. Przyzwyczaili się.*

Osoby osiedlające się na wsiach także często miały do dyspozycji gospodarstwa z pełnym wy-

posażeniem domowym, zdarzały się przypadki koegzystowania rodzin polskich i niemieckich, aż do ostatecznego wysiedlenia.

Obszernie wspominają to Natalia Podhajecka i Mieczysław Pasternak, którzy doświadczyli takich sytuacji. Jest wiele wspomnień, dotyczących nie tak idyllicznych stosunków polsko-niemieckich oraz przemocy, także bardzo drastycznej, wobec wysiedlanych.



fot. archiwum Łużyckiego Centrum Rozwoju



Również i w Lubaniu zdarzały się gospodarstwa porzucone niemal w połowie posiłku, jak opowiadał Stanisław Piotrowski.

Pan Stanisław wraz z siostrą, przyjechał do Lubania do szwagra, o którym wiedział, że żyje pod Lubaniem, w Pisarzowicach. Ale zanim tam pojechali, spędzili noc w Lubaniu. Po zmroku wysiedli na stacji, która była w ruinie. Drogę oświetlało parę jeszcze działających lamp gazowych. Domy były puste. W jednym z nich pan Stanisław i jego siostra postanowili przecze-kać do rana.

*– Poszliśmy do takiego domu, była furтка otwarta. Złapałem ją za klamkę, klamka była prądem podłączona. To wziąłem kija, wybiłem szybę. Potrzepało mną. No tośmy wybili to okno, wleźli do środka. A w środku wszystko było, ale to był taki moment, że Niemcy musieli uciekać, bo na stole jeszcze był kurczak, że aż robaki łazili po stole. To nie zdążyli chyba zjeść. Poszliśmy tam do piwnicy, szukali co, gdzie. To znaleźliśmy słoiki,*

*tam różne owoce, różne takie, no takie coś do jedzenia.*

Dołączanie do rodziny, bliskość do pracy, różne były motywy wyboru nowych siedzib. Różna też siła przebiecia i możliwości przybywających nowych lubanian i lubanianek.

Matka Pani Krystyny Palemby, sybiraczka, która przeżyła sześć lat katorgi, wręcz bała się pytać o możliwości mieszkaniowe i szukać miejsca w pustych willach i mieszkaniach. Przez jakiś czas rodzina żyła w pokoju w PUR.

Ojciec Józefa Soczyńskiego, choć chciał gospodarzyć, bał się osiedlić na wsi. Nadal przerażała go tragedia, jaka spotkała jego siostrę i jej dzieci podczas Rzezi Wołyńskiej. Wybrał zatem niewielkie gospodarstwo na pograniczu miasta.

Pozostałości po wojnie psuły obraz, ale powoli i stopniowo były usuwane. Stare i zniszczone miejsca dostawały kolejną szansę i kolejne wcielenie. Miejsca, które zachowały się w dobrym stanie, były stopniowo przejmowane, jak



zakłady pracy, w których niemieccy mistrzowie i fachowcy mieli nakaz przekazywać wiedzę Polakom, odelegowanym do pracy według zdolności i wykształcenia.

Uruchamiano szkoły, szpitale, miejsca kultury, handlu, kultu religijnego. Zabezpieczano ruiny, wywożono gruzy, zasypywano szyby i wykopy. Była to tytaniczna praca. Z perspektywy jednostkowych ludzkich historii, były to kolejne pojawiające się na osobistej mapie punkty – sklep, piekarnia, szkoła, zakład pracy, kościół, przychodnia, kawiarnia, świetlica.

Wiele z osób wspominających ten dawny Lubań opowiadało o życiu towarzyskim, miejscach spo-

tkań, wyrażając jednocześnie obawę, że współczesny tryb życia prowadzi nas ku nieuchronnemu osamotnieniu. Z sumy zebranych opowieści wyłania się nie synteza powojennych dziejów miasta, ale kolekcja obrazów, zapisanych w pamięci miejsc i tworzących je ludzi.

Książka, która ma się ukazać się w 2020 roku, będzie zawierać zapis wspomnień 20 osób przybyłych do Lubania. Wydawnictwo nie ma być dla czytających kompletną kroniką – raczej zachętą do własnych rozmów ze starszymi osobami z rodziny, z sąsiedztwa i otoczenia, do własnych inicjatyw kronikarskich, poznawania historii i dzielenia się nimi. [•]



**PRYZSTANEK DOLNY ŚLĄSK**

[www.patronite.pl/przystanekd](http://www.patronite.pl/przystanekd)



**POTRZEBUJE  
WASZEGO  
WSPARCIA**



PATRONITE



DIES DENKMAL  
DER ERINNERUNG GEWEHT  
AN DEUTSCHES HELDENTUM  
IN GROSSER ZEIT  
SOLL NOCH DIE SPATEREN  
GESCHLECHTER MAHNEN  
FURS VATERLAND ZU STEHEN  
GLEICH DEN AHNEN

Pomnik poświęcony żołnierzom z gminy Ransern (dzisiejsza wrocławska dzielnica Rędzin), którzy zginęli w I wojnie światowej w walce za ojczyznę. Odnowiony w 2004 roku pomnik znajduje się u zbiegu ul. Szachistów i ul. Wędkarzy, 3 minuty w stronę centrum od pętli autobusowej. Można tu dojechać kursującym co godzinę miejskim autobusem linii nr 118. Można też przyjść na pieszo wałami wzdłuż Odry od mostu Osobowickiego / fot. Wojciech Glodek, 25 stycznia 2020 roku



# WYCIECZKI I SPACERY

Dolny Śląsk to obszar bardzo zróżnicowany, na południu góry, na północy rozległe bory i kompleksy stawów, a między nimi urocze miasteczka. Trasę dla siebie znajdują tu zarówno miłośnicy wysokogórskiej wspinaczki, wycieczek po niezbyt wysokich pagórkach, jak i ci preferujący spacerowanie śródmiejskimi traktami czy parkowymi alejkami.



Wrocław, Rędzin, 2020



Wrocław, Rędzin, 2020

fot. (x2) Wojciech Głodek







# NASI STARSI BRACIA

*Drzewa nie są zielenią, to nasi starsi bracia unieruchomieni, dawne plemię pokryte sierścią, pełne wilgoci, obrosłe rogami (Guido Ceronetti)*

**tekst i zdjęcia Alicja Kliber**

**C**zęsto mijając ogromne drzewa, nie zastanawiamy się, czym są i jaką rolę spełniają w ekosystemie. Rzadko stanowią cel podróży. Po prostu są obok nas. Jednak stare dolnośląskie drzewa mogą być równie interesujące, co zamki, pola bitew czy górskie widoki.

Drzewa wokół nas zmieniają się niepostrzeżenie, ubierają w kolorowe liście, kwitną, próchnieją. Na niektórych widnieją tabliczki „pomnik przyrody”. Czasem są ogrodzone, czasem zniszczone. Tak je postrzegamy. Wiosną i latem przyciągają może bardziej dlatego, że wokół jest zielono i rajsko.

Dla mnie stare drzewo powinno mieć przynajmniej 200 lat, bo to w ostatnich dwu wiekach na Dolnym Śląsku i w Europie zmieniło się bardzo wiele. Takie drzewa były świadkami wojen, upadków monarchii, nowego podziału Europy, rozwoju przemysłu i transportu, wielkiego kryzysu ekonomicznego,



osiągnięć naukowych i kulturalnych, powodzi i wielu innych wydarzeń. Stare drzewa stawały się jeszcze starsze, a nowe kielkowały. Wiele padło pod toporami, spłonęło lub zginęło w inny sposób.

Wprowadzenie przez Aleksandra von Humboldta terminu po-

mnik przyrody, odnoszącego się nie tylko do drzewa, zapoczątkowało w XVIII i XIX wieku działania konserwatorskie w ochronie przyrody. W Polsce już w 1819 roku wprowadzono to pojęcie i określono potrzebę ochrony nie tylko roślin. Dla każdego gatunku drzew



Cis Henryk w Henrykowie Lubańskim podczas leczenia



Buk zwyczajny w Sichowie



*Nigdy nie słyszałem, żeby któreś z tych drzew umarło ze starości, i sądzę, że gdyby nie uderzenia pioruna, pożary i wichury, niektóre z nich mogłyby dożyć 10 000 lat. (dr Ferdinand C. Lane, "Życie drzew")*

---

oznaczono parametry: wysokość, obwód pnia i inne, jakie może osiągnąć, a informacje te ujęto w rejestrach.

W swoich wędrówkach odwiedziłam wiele drzew, rozpoczynając od tych najstarszych.

**Cis popolity Henryk w Henrykowie Lubańskim** jest uznany za najstarsze drzewo w Polsce. Wykielkował zapewne w puszczy, a może na jej obrzeżu około 720 roku, kiedy to powstawały na Śląsku pierwsze słowiańskie gródki obronne. Jego obwód to 425 cm i jako pierwsze drzewo w naszej historii objęty został ochroną już w XV wieku. Miał już 140 lat, gdy z Bizancjum sprowadzono na Morawy misjonarzy Cyryla i Metodego w 863 roku. Obecnie, po kilkuletnim intensywnym leczeniu i zabezpieczeniu przed szkodnikami i przesuszeniem, cis ma się dobrze.

Dawniej cisowe drewno używane było do wyrobu luków. Wiele z jego części jest trujących, nie wydziela żywicy.

W dużo lepszym stanie jest kolejny staruszek wśród cisów. Ten drugi co do wieku okaz rośnie **na terenie cmentarza w Bystrzycy, w okolicach Wlenia**. Liczy sobie ponad 800 lat i obwód jego pnia sięga 360 cm. Ten cis widział więc sprowadzenie Krzyżaków na Śląsk około 1222 roku i Templariuszy do Oleśnicy Małej w 1226 roku. W latach trzydziestych niedaleko cisa mieszkał jako dziecko Werner von Braun, późniejszy niemiecki uczonek, konstruktor raket kosmicznych.

**Dąb szypułkowy Chrobry w Piotrowicach pod Szprotawą** to prawdziwy mocarz wśród mocarzy. Obwód pnia to ponad 1000 cm. Jest uznawany za naj-



Cis pospolity w Bystrzycy koło Wlenia



Dąb szypulkowy Chrobry w Piotrowicach koło Szprotawy



Dąb szypułkowy Młynarz w Piotrowicach koło Chojnowa



Tulipanowiec amerykański w Sichowie





*Ja znam ten kraj, gdzie nie cytryny rosną, / Nie pyszny laur, nie wonny mirt rozkwita, / Ja znam ten kraj, gdzie dąb rozmawia z sosną / Pod cichym szum falującego żyta...* (Edward Słoński, "Ja znam ten kraj")

---

starszy dąb w Polsce, a już na pewno jest jednym z najstarszych. Prawdopodobnie wykiełkował około 1250 roku. Być może drzewo już rosło, kiedy w bitwie podczas najeźdu mongolskiego, pod Legnicą, zginął Henryk Pobożny. Już przed II wojną światową był chroniony. Wówczas nazywał się Wielkim Dębem (Grosse Eiche) lub Grubym Dębem (Dicke Eiche).

Kolejne, **Piotrowice i Konradówka**, to dwie sąsiadujące wsie pod Chojnowem. Na ich terenie rośnie wiele pomnikowych drzew. Wiek kilkunastu dębów określa się na ponad 550 lat, a obwód ich pni to od 600 do ponad 900 cm. Jeden z nich rośnie przy kanale młyńskim, a drugi w centrum wsi. Nazwano je **Młynarzem i Konradem**. Wykiełkowały prawdopodobnie w 1470 roku. Pamiętają króla Kazimierza Jagiellończyka.

**Tulipanowiec amerykański w Sichowie** jest uznany za najgrubszy w Polsce. To drzewo o jednym pniu, którego obwód sięga 500 cm, a wiek określono na nawet 300 lat. W tamtym czasie tulipanowce były bardzo modne i sadzono je w przypałacowych parkach. Tulipanowce to najszybciej rosnące drzewo parkowe. Roczne przyrosty sięgają nawet 50 cm. Kwiaty, jakich nie znajdzie się u naszych rodzimych drzew, kryją się wśród liści o idealnie jednokształcie.

**Leszczyna turecka w Sobocie** także nie jest naszym rodzimym drzewem. Tak jak wiele, trafiła do naszych parków w wyniku panującej mody. W pokroju jest zupełnie inna niż nasza popularna krzewiasta leszczyna. Jest drzewem o wysokim pniu i rodzi dużo większe owoce.



**Milorzab** przez naukowców uznany został za żywą skamieniałość. Jego części znaleziono w jurajskich pokładach, czyli w warstwach ziemi sprzed 200 mln lat. Pochodzi z południowo-wschodnich Chin. To długoletnie, bo dożywające nawet do 4 tysięcy lat drzewo, jest zaliczane do drzew iglastych. W parkach chętnie sadzono te egzotyczne i tajemnicze drzewa, których części wciąż mają zastosowanie w farmacji i kosmetyce. Jedno z nich spotkałam **w parku pałacowym w Dobrocinie**. Wczesną wiosną wypuszczało już swoje szpilki/listki w formie wachlarzyków.

Obok długoletnich leśnych i parkowych drzew, sędziwego wieku dożywają również drzewa owocowe. Jedną z niewielu opisanych jest **grusza pospolita w Grudzy**. Jej wiek to około 250 lat, a grubość pnia 375 cm. Podczas I rozbioru Polski mogła być już kilkuletnim drzewkiem. Może nawet owocowała. Jest prawdopodobnie najstarszą w swoim gatunku polską gruszą. Choć krzywa i z kilkoma gałęziami,

to jednak obficie kwitła i pewnie, jak przez swoje długie życie, wyda kolejne owoce.

Można wymienić jeszcze wiele gatunków drzew na Dolnym Śląsku i w bliskim sąsiedztwie. Jednym z nich jest **orzeczek czarny i dęby w Rogalicach w Opolskiem**. Ów orzeczek czarny jest prawdopodobnie najgrubszym drzewem tego gatunku w Polsce. Obwód pnia to około 550 cm a wiek to 180 lat. Być może pamięta inaugurację żeglugi parowej na Odrze, kiedy to w 1838 roku rozpoczęły się pierwsze rejsy linii Wrocław – Hamburg.

**Wierzy** na podmokłych terenach tworzą wykrzywione, często wielopniowe drzewa. W baśniach były siedliskami duchów i złych mocy. Nawet przewrócone, wciąż żyją. Pięknie wyglądają jako pojedyncze drzewa lub także jako grupa na brzegach strumieni.

**Lipa** przez swoją olbrzymią kwitnącą koronę jest szczególnie ważna dla wytwarzania miodu, w którym przez cały rok uwięzione jest letnie słońce i zapach kwiatów.



Grusza pospolita w Grudzy



Dąb szypulkowy w Szydłowiec Śląskim



Orzech czarny w Rogalicach



Wierzba biała w Piotrowicach koło Chojnowa



Jej miękkie pozbawione słoju drewno służyło do wyrabiania przedmiotów codziennego użytku i innych. Jak wiele innych drzew, już od czasów pogańskich była uznawana za święte drzewo.

To pod lipami odbywało się wydawanie wyroków. Często stare lipy nazywane były „lipami sądowymi”. Takie spotykamy choćby **w Karpaczu** przed dawną karczmą sadową, czy **na dziedzińcu**

**zamku Grodno w Zagórzcu Śląskim**. Z drzewa spływała na sędziów mądrość i sprawiedliwość wydawanych wyroków.

Ciekawą lipą jest ta, która rośnie **w Unisławiu Śląskim**. Liczy sobie około 570 lat, ma zrosnięte dwa pnie, których łączny obwód wynosi około 860 cm. W zgięciu próchniejących gałęzi zasiała się jarzębina, klon i agrest. Tworzą wielogatunkowy organizm.



Lipa drobnolistna w Unisławiu Śląskim



*Gościu, siądź pod mym liściem, a odpoczni sobie! / Nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie...* (Jan Kochanowski "Na lipę")

---

W latach, kiedy nasza lipa była jeszcze lipką, w części górskiej Dolnego Śląska, prawdziwą plagą byli rycerze-rabusie. Zasiadlili wiele kamiennych zameczków i rabowali mieszczan i przejezdnych.

Te wielkie drzewa były także natchnieniem dla poetów. Najstarszym wierszowanym wspomnieniem lipy jest XVI-wieczna fraszka autorstwa Jana Kochanowskiego.

Najcenniejsze drzewa nie umierają bezpotomnie. Tworzy się rezerwaty np. Buki Sudeckie czy Cisowa Góra. Zaś pomiędzy Jelenią Górą a Karpaczem od 1996 roku miłośnicy drzew mogą odwiedzić swego rodzaju Arkę Noego. To **Leśny Bank Genów Kostrzyca w Miłkowie**. Jego celem jest klonowanie i przechowywanie genów (nasion) jako zapasów do nasadzeń

oraz zachowanie gatunków w razie katastrof klimatycznych i innych nieprzewidzianych zdarzeń. W komorach chłodni przechowuje się nasiona w temperaturze od -10 do -20°C. Tutaj między innymi rosną klony naszego najstarszego cisa z Henrykowa Lubańskiego.

Leśny Bank Genów w Kostrzycy jest jedynym tego typu ośrodkiem w Polsce i współpracuje z Globalnym Bankiem Nasion, znajdującym się na Spitsbergenie w Norwegii, gdzie w tunelach, w wiecznej zmarzlinie przechowuje się nasiona roślin z całego świata.

Inną metodą przedłużania życia najważniejszych także historycznie naszych drzew jest wysiew ich nasion. W 2004 roku, w czasie pielgrzymki polskich leśników do Watykanu, papież Jan Paweł II po-

---

Cytaty za Wikiquote. Informacja o Miłorzębie za Wikipedią. Pozostałe materiały źródłowe: A. Galas, *Dzieje śląska w datach*, Wrocław 2001, [www.rpdp.hostingasp.pl](http://www.rpdp.hostingasp.pl), [www.ciemiega.pl](http://www.ciemiega.pl)





Leszczyna turecka w Sobocie



Jesion Bolko w Dusznikach-Zdroju



święcił 2,5 kg żołądzi dębu Chrobry. Po wykiełkowaniu zostały posadzone w wielu miejscach. Przy takich dębach umieszczono odpowiednie tabliczki z ich certyfikatem. Dziś na wietrze szumi kilkadziesiąt dębów papieskich.

Pomysłem na letnie wędrowanie może być odszukanie ciekawych drzew na Dolnym Śląsku. Nie jest to wcale łatwe, bo często rosną one

w miejscach, do których nie prowadzi żadna droga. Sama wielu takich miejsc nie odnalazłam. [•]

Autorka to urodzona w Wałbrzychu pasjonatka wszystkiego, co dotyczy Dolnego Śląska, ze szczególnym uwzględnieniem jego "bocznych dróg". Uważa, że historia to ciągłość ludzkich losów, a pamięć należy się tym, którzy mieszkali tu przed nami. Prowadzi bloga w którym opisuje swoje spojrzenie na Dolny Śląsk. Poszukiwaczka miejsc opisanych w dolnośląskich legendach, sama napisała dwie baśnie o górach. Lubi góry i czuje się częścią górskiej dzikiej przyrody. Posiadaczka trzech kotów i psa.



Leśny Bank Genów w Kostrzyca





# WZGÓRZA GILOWSKIE

tekst i zdjęcia Anna Kawalec

**C**zasami potrzebujemy tego po pracy. Czasami chcemy tego w weekend. Ale zawsze daje nam oddech, możliwość złapania dystansu. Chwila na pobycie z przyrodą, którą możemy napawać się w ciszy. Co to takiego? To wędrowka w miejscu, gdzie nie spotkamy tłumów.

To szlak wijący się przez pole, las, wzgórze. Przemierzany samemu albo z kimś nam bliskim. Ale zawsze bez tłumów, lawirowania między innymi turystami. Bez mimowolnego słuchania rozmów i krzyków.

To czas tylko dla nas.

Brzmi jak plan na najlepsze możliwe ładowanie baterii po ciężkim czasie? Jak doskonała opcja wyrwania się na łono natury, bez obaw o koronawirusa, zagrożenia?

Dla mnie – kogoś, kto ponad wszystko kocha święty spokój i wędrowkę z psami, to plan na prawie każdy wypad. Wiem, że nie tylko ja potrzebuję tych chwil samotności, więc „sprzedam” Wam kilka miejsc i szlaków, które niedawno odkryłam, a które dostarczą nam tego,

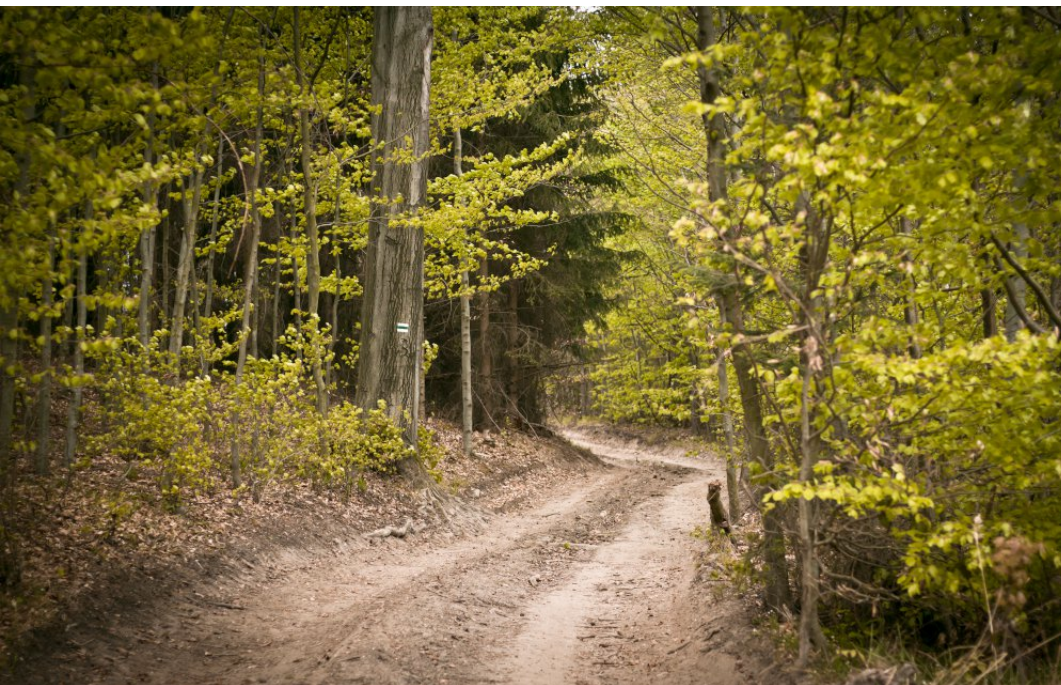




czego potrzebujemy! Szykujcie plecak, wygodne buty, psa, bo to najlepszy towarzysz wędrowki i kanapki, bo zabieram Was w dzicz, gdzie (na szczęście) budki z przekąskami i kolejki do napojów nie spotkamy!

Na co dzień "urzęduję" we Wrocławiu, czasu mam jak na lekarstwo, więc kierunki moich mikrowypraw muszą mieścić się w zakresie nie za daleko, tak żeby skoczyć raz dwa. Nie za intensywnie, kondycja

to kapryśna sprawa. Ci, którzy myślą jak ja, często wybierają azymut na Góry Sowie. Piękne, przyjemne i... zatłoczone. Przynajmniej w głównej części. Niechaj pierwszy rzuci kanapką ten, kto nie kojarzy dzikich tłumów na szczycie Wielkiej Sowy. Tak, wiem, można w tygodniu, ale niestety trzeba zarabiać na godne życie psów. Można skoro świt – błagam, zlitujcie się nad miłośnikiem spania chociaż do 6.





Co począć, jak żyć? Najlepiej otworzyć głowę i oczy! Spojrzeć na mapę i dostrzec, że świat w tych okolicach nie zaczyna się przy wejściu na Sowę, czy Kalenicę. Znacnie takie dobrodziejstwo jak mapy.cz? Darmowa aplikacja i wersja komputerowa pokazująca nie tylko szlaki, ale i ścieżki. Pomaga planować, pokazuje przewyższenia i dostarcza niezliczoną liczbę pomysłów na przebieg wędrowki. Oczywiście nie

zastąpi w terenie mapy papierowej, działającej 24/7 bez ładowania, ale czemu by mobilnie nie poplanować? To właśnie tam znalazłam pomysł na opisany tu wypad.

Pewnie kojarzycie Gołę Dzierżoniewską. A leżący nieopodal Gidlów? Koniecznie zerknijcie, gdzie się znajduje. A kiedy już go znajdziecie, popatrzcie na północny zachód. Są tam wzniesienia o wdzięcznej nazwie Czarnogórze i Dębowa.





Zazwyczaj ruszam na szlak tyłko z sukami, na miejsce dojeżdżamy naszym "piesowozem" – osobówką. Jeśli nie ma wyznaczonego parkingu, szukam miejsca, gdzie mogę przycupnąć autem tak, żeby absolutnie nikomu nie wadzić. Czasem złapiemy szeroką zatoczkę na poboczu, czasem stabilny grunt pod kołami pod drzewem. Zawsze jednak priorytetem jest nieprzeszkadzanie. W końcu jesteśmy tu gośćmi.

Trasę zaczynamy z prędkością, że się aż kurzy za nami. Choć może to ta piaskowa droga? Wolę uważać, że osiągnęliśmy z sukami tak zawrotną prędkość. Droga prowadzi przez pola – zmierzamy do szlaku zielonego. W większości takich miejsc brak oznaczenia szlaku ani trochę mnie nie dziwi. Są ważniejsze dukty. Tu pozytywne zaskoczenie – oznakowanie jest tak dobre i nowe, że nawet ja, skupiona na robie-







niu zdjęć i pilnowaniu zapędów spożywczych psów nie zgubiłam się ani razu. Przynajmniej na tym odcinku.

Nie wiem jak Wy, ale ja w takiej dziczy i samotnej wędrowce lubię też prostą nawigację. Mogę skupić się na podziwianiu, przemyśliwaniu... Na byciu wędrowcem, a nie nawigatorem. Lubię to, że mogę po prostu iść zamiast odliczać trzecią drogę w prawo, potem piątą w lewo i na rondzie w lewo.

Zielony szlak, wiodący nas przy szczytcie Twardno aż na Stołążek, to właśnie taka trasa. Szare komórki i wzrok wysilamy jedynie przy wejściu na Stołążek. Tu jest szansa, że oznakowanie szlaku może nam na chwilkę uciec, więc uważajcie.

I spójrzcie, jaka cudna polska nazwa! Bardzo chciałabym polecić to komuś, kto z naszym językiem dopiero się zapoznaje! Hej, idź na Stołążek, a potem zahacz o Czarno-





górze i Kruszel! Ciekawe, czy by się odważył?

Jeśli myślicie, że takie niewielkie wzniesienie, jak Stołążek, z szalonymi 406 m n.p.m. nie dostarczy Wam doznań, to się mylicie! Wytrawni sudeccy piechurzy wiedzą, że nie wysokość stanowi o wyzwaniu w górach. Borowa zdobyta? A Wali-góra? Przecież to też takie małe górki. A więc powiadam, zejście z tej górki, mimo że krótkie, skutecznie

dostarcza rozrywki. Jeśli dodatkowo, jak ja, wędrujecie z psami na pasie trekkingowym, polecam przećwiczyć komendę na zatrzymanie i zwalnianie. Może okazać się, do słownie, ratującą tyłek.

Dalej poszliśmy szlakiem zielonym, aż do szczytu Lipno. Tu zrobiliśmy nawrót przez prawe ramię i leśnymi ścieżkami, równoległe do szlaku, wróciliśmy obok szczytu Kramarz do miejscowości Dobroci-





nek i do fragmentu trasy, którym zaczynałyśmy.

Ostatni, leśny etap dla mnie był najbardziej emocjonujący. Wędrowałam tylko z moimi psami, a jedna z suk bardzo dynamicznie reaguje na zwierzynę. Idzie oczywiście przypięta do mnie, więc "witanie się" z sarenkami nie wchodzi w grę. Ale idąc przez las, w lekko burawą aurę, kiedy psy spinają się na jakiś szelest w zaroślach lub stają i wpatrują się w ścieżkę przed nami ma to swój wyjątkowy klimat. Chwilami przyprawia o szybsze bicie serca, momentami o zachwyty, gdy dukt przecinają nam sarny.

Nasza trasa to ok. 10 km. Jednak dzięki temu, że mamy tutaj do wyboru całe mrowie ścieżek, bez problemu wydłużymy wędrowkę do 12 czy 15 km.

Cała idea wędrowania z psami przenosi w troszkę inny wymiar podróży. Jest w tym coś niezwykłego, kiedy wchodzimy w przyrodę, za towarzysza mając stworzenie, które o wiele lepiej od nas czyta otaczają-

cą przestrzeń. Ja staram się chłonąć przestrzeń wokoło. Słyszeć, a nie tylko słuchać, czerpać zapachy, kolory. Przyjemność sprawia mi obserwacja, jak nową trasę poznają moje psy. Pozwalam sobie zatrzymać się razem z nimi, kiedy one chwytają fragment tropu zwierzyny albo gdy coś usłyszą.

Przeszliśmy razem niejednym szlakiem. Mamy razem w łapach i nogach sporo kilometrów. Ale tylko w takich mało znanych miejscach, gdzie jedynym człowiekiem prawdopodobnie jestem ja, możemy wszystkie trzy w pełni czerpać.

Jeśli chcecie wziąć z wędrowki ile tylko się da, chłonąć piękno przyrody, zmęczyć się, ale i nasycić energią z wędrowki, koniecznie wybierzcie jakieś niepopularnie miejsce. Może Gilów i Stołążek? A może jakieś inne? Na pewno nie pożałujecie! A kanapka z plecaka i kawa z termosu, jedzone na pieńku, smakują po stokroć lepiej niż te w gwarnym, zatłoczonym przybytku spożywczym. [•]





# SZUKAJĄC TRACHITÓW

tekst i zdjęcia Anna Kawalec

**S**pokojna wyprawa w nieznane? Puste ścieżki? Jedyna możliwość spotkania sarenek, zajęcy czy inszych zwierząt leśnych? Brzmi jak dobry plan na wypad! Tym razem będzie o ukrytych geologicznych niespodziankach, czyli poszukamy trachitów!

Ponieważ czasu często mam za mało, a chęci na nigdy nie maleją, regularnie stawiam na małe wypadki. Kilka godzin. Tak żeby wstać, pojechać, wrócić i jeszcze uszczknąć coś z popołudnia. Na przykład na porządku w zrobionych na trasie zdjęciach. Pozostaje tylko pytanie, gdzie jechać, żeby było miło, sprawnie i bez tłumów.

Taką trasą może być wyjazd w Góry Kaczawskie. Ostatnio coraz

popularniejsze, jednak nadal przez wielu traktowane jako ubogie kuzynostwo leżących obok Rudaw Janowickich czy szacownych Karikonoszy.

A Kaczawskim niczego nie brakuje. Nadal nie ma w nich schronisk, bo po co, skoro to takie





niewysokie góry. Nie ma chyba też przez to tłumów. Wielu woli skoczyć obok, w prostsze góry. I nie chodzi nawet o przewyższenia, a o pomysł na trasę. Bo przeglądając fora na Facebook'u, zdjęcia z Sokolika czy Śnieżki przewijają się co chwila. Za to ze Skopca czy Okola to już relacje zarezerwowane dla koneserów.

Ja próbuję zachęcić Was do wyjścia na szlak dla amatorów ni-

szowych ścieżek. Mam nadzieję natchnąć Was na wyprawę w nieznaną. Tam, skąd zdjęć na fejsowych grupach jest o wiele mniej, ale jedno jest pewne – spacer TAM na pewno Was nie rozczaruje.

Tam, czyli gdzie? W Kaczawskie. Ale nie na wspomniany Skopiec i Baraniec. Tam idą ci, którzy chcą wbić sobie pieczętkę do Korony Sudetów. Na Okole? Punkt widokowy? Też nie. Nadal zbyt oczy-





wiste. Ostrzyca i Myślubórz? Dzika dzicz weekendowa. Nie dla nas. Ja proponuję wyruszyć na poszukiwanie skalnych smaczków.

Całe Kaczawskie to niezwykle geologicznie obszar. Znajdziemy tu wygasłe wulkany, usiądziemy na tym, co pozostało po erupcjach. Zbocza, które tworzą słupy bazaltowe, będą doskonałym tłem do epickich zdjęć z podróży. I mimo że ostatecznie wulkaniczne tchnienie te

góry wydały z siebie bardzo dawno temu, to fakt, że możemy tego dotknąć, zobaczyć, bez grzebania w ziemi i przede wszystkim łatwo znaleźć i rozpoznać, to coś bardzo fajnego.

Ja z geologii mam znikomą wiedzę, ale sprawia mi frajdę odszukiwanie kolejnych znaków historii ziemi. Najbardziej znanymi wspomnieniami wulkanicznego okresu tych terenów są bazalty,





które znajdziemy w Myśluborzu. Są też Organy Wielisławskie.

Ale czy wiedzieliście, że poza bazaltami jest coś jeszcze? Ja do niedawna ograniczałam się tylko do nich! A okazuje się, że w zależności od tego, w jaki sposób coś się z wulkanu wylewa, determinuje końcową formę zastygłych skał. Jakby fakt, że to, co roztopione do niebotycznych temperatur, było teraz skałą, nie był wystarczający do powiedzenia ŁAŁ!

Są trachity. To mało znane skały przeobrażone. Po specjalistyczną wiedzę można udać się do znawców geologii albo do Dobkowa, do Sudeckiej Zagrody Edukacyjnej, gdzie na bank wiedzą wszystko na ten temat.

Dla mnie pomysł odszukania trachitów wydał się wystarczająco oryginalny, żeby już ze znikomą wiedzą wyruszyć na wyprawę.

Bo skoro wszyscy chodzą oglądać bazalty, to jest spora szansa, że przy trachitach nie spotkam nikogo! A w końcu to mój cel – przyjemny wypad w nieznaną, bez

tłumów. Tylko ja, psy i tajemnicze skały. Jeśli również Wam pojawiła się myśl o zostaniu skalnym odkrywcą, proponuję wypad do Płoniny. Pierwsze skojarzenie z tym miejscem, to Zamek Niesytno, górujący nad okolicą ze skały, na której się osadził. Ale on przechodzi "lifting", więc zostawimy go na kiedyś indziej.

Żeby znaleźć nasz cel, musimy wskoczyć na szlak żółty. Łatwo go znaleźć, wystarczy z drogi dostrzec ruiny dawnego kościoła ewangelickiego. Można zaparkować zaraz przy drodze, spakować co tam kto potrzebuje - psy, herbatę w termosie, zapasowe baterie do aparatu i ruszyć przed siebie

Kaczawskie to fajne górki jeszcze z jednego względu. Wystarczy postawić pierwszy krok na szlaku i już! Można wędrować, przez długi czas nie przejmując się kolorami szlaków i odbiciami w inne drogi. Tutaj, kiedy już ruszycie żółtym szlakiem, poprowadzi on Was dokładnie tam, gdzie chcecie! My tak powędrowaliśmy.





Na samym początku minęłyśmy pozostałości kościoła. Jeśli będziecie mieli ochotę zejść ze ścieżki i przyjrzeć się im, uważajcie. Takie miejsca potrafią skrywać pułapki – zapadające się stropy, niestabilne ścieżki i zniszczone podłogi, odsłaniające podpiwniczenia. Oglądanie w bezpiecznej odległości też jest fajne. Ruszając dalej, wejdziecie na ścieżkę pomiędzy polami i przy lesie. Jeśli będziecie wystarczająco

wcześnie i cicho, macie ogromną szansę spotkać sarny czy zające. Na zatłoczonym szlaku – "autostradzie" na Ślężę czy Szrenicę, tego nie zobaczycie! Byłam, sprawdzałam, wiem co mówię.

Stawiając krok za krokiem, po niecałych dwóch kilometrach dochodzimy do Czerwonej Skály i przede wszystkim do Diablaka. Bardzo lubię nazwy szczytów w tych dzikszych partiach Sudetów.





Nie zastanawiacie się czasem, skąd się wzięły? Może nocami gwiazdy jaśniej tu troszkę inaczej niż gdzie indziej? Albo mgła wolniej stąd ucieka i głos się dziwnie rozchodzi? Przecież nie może to być losowo wybrane ze słownika słowo!

Diablak diabelskim nie był, kiedy go odwiedzałyśmy. Jest za to wzniesieniem o dumnych 391 m n.p.m. i akurat jest klasyką tych okolic, czyli tworem bazaltowym. Ci

którzy znają już Myślubórz czy Wielisław, na bank poznają słupy bazaltowe.

Warto Diablaka obejrzeć z bliska i obejść. Jest wyjątkowym tworem przez wtopioną w siebie skałę piaskowca. Jako prawdziwy niegeolog, który ze skałami i minerałami miał do czynienia w szkole, więc wiele lat temu, szczerze podziwiam takie obiekty. Fajnie jest przystanąć i wyobrazić sobie całą tę





lawę, oblewającą skałę. A potem zastygającą. A na koniec, długo, długo potem, przychodzimy my i patrzymy na to wszystko i nawet możemy podotykać całkiem legalnie. Dla mnie – fascynujące!

Info dla znawców tematu - tak, tu jest kesz. Tym bardziej warto przyjrzeć się Diablakowi z bliska.

Skoro mamy już bazalty, czas na gwiazdę wyprawy. Trachit. Bazalt bywa nudny. Jest w wielu miej-

scach. Czytając o Krainie Wygasłych Wulkanów, nie da się ominąć fragmentu o nim. A trachit? Szara eminencja. Gwiazda stroniąca od rozgłosu. Czai się kilometr za Diablakiem. Ukrywa się, zmusza nas do zejścia z żółtego szlaku, wkroczenia na ścieżkę bez koloru. Ale warto!

Pośród drzew skrywa się bowiem Karczisko. Nasz cel, który powstał w paleozoiku. Skały, z któ-



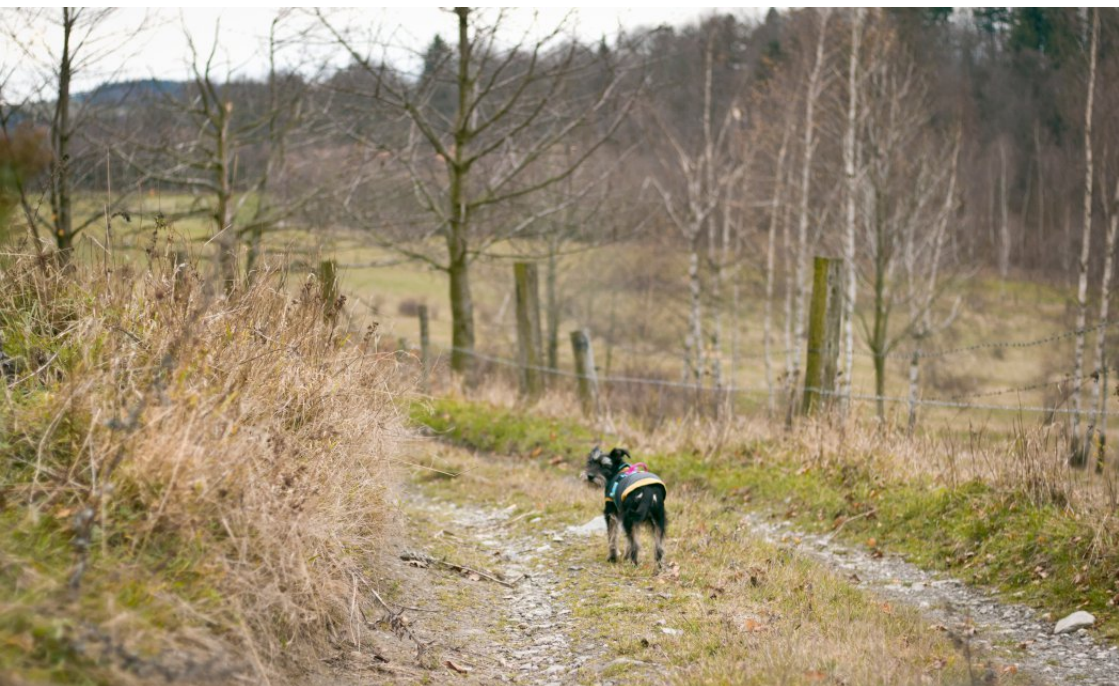


rych jest zbudowany, to tak samo jak bazalty – skały wylewne. Czyli coś się z wulkanu wylało, zastygło i mamy. I mimo, że to jedna rodzina z wszechobecnymi w Górach Karczewskich bazaltami, to trachity należą do o wiele rzadszych skał.

My do samochodu wróciłyśmy tą samą trasą. Ale w górach można spokojnie wracać po własnych śladach i się nie nudzić. Podejścia zmieniają się w zejścia, a widoki,

oglądane pod innym kątem, zmieniają się prawie nie do poznania. Nasza trasa miała 6,5 km, bez wielkich przewyższeń. Można zrobić go rano i jeszcze zdążyć na obiad. Albo w towarzystwie kogoś o mniejszym zasięgu łap lub nóg.

Skały na co dzień mnie nie interesują. Ale obranie za cel Karczewiska wydało mi się świetną przygodą. Nie tylko zobaczyłam coś wyjątkowego w regionie. Dzięki





niemu miałam plan na niezbyt forsowny i nie za długi spacer. Przeszłam przez piękne ścieżki, nie spotykając nikogo. Poszerzyłam wiedzę o tej części Sudetów, jednocześnie mogąc napawać się tym, co lubię najbardziej – samotną wędrówką w nieznane.

Jeśli też tego zapragniecie, spójrzcie łaskawym okiem na okolicę Płoniny i żółty szlak przez Diabłak i Czerwoną Skałę.

A jeśli akurat tam Wam nie po drodze, może w innym miejscu znajdziecie szlak, który poprowadzi Was w nowe, nieznanne miejsce. Takie, które będzie skrywać pobudzającą wyobraźnię nazwę albo historię sięgającą bardzo dawnych czasów. Bo te mniej popularne okolice wcale nie są bardziej nudne. Są dla koneserów, którzy potrafią je odszukać i docenić. Do zobaczenia na jednej z takich ścieżek! [•]





Niewielkie Sokołowsko koło Wałbrzycha to jedno z najstarszych miejsc leczenia chorób płuc na świecie. Jego niezwykle walory klimatyczne dostrzeżono już w połowie XIX wieku. Do Görbersdorf, czyli dawnego Sokołowska, przybywało wielu sławnych i znanych ludzi. Akcję swojej powieści "Wanda" umieścił tu śląski noblista Gerhart Hauptmann. Pisarz przyjechał do Görbersdorf w 1927 roku, a jego wuj wuj Alfred pracował tu jako leśniczy / fot. Wojciech Głodek, 8 września 2018 roku



# CIEKAWOSTKI I OSOBLIWOŚCI

Każdy region jest regionem na swój sposób szczególnym, posiada sobie właściwe cechy i może poszczycić się czymś, czego nie mają inne. Takie właśnie szczególne przestrzenie i wyjątkowe miejsca na Dolnym Śląsku chcemy Wam pokazać - punkty, które warto odwiedzić dla jednego nawet drobiazgu, świadczącego o ich wyjątkowości.



Sokołowsko, 2020



Sokołowsko, 2020

fot. (x2) Wojciech Głodek



# SKARBY WCIĄŻ UKRYTE WE WROCŁAWIU

tekst i zdjęcia **Magda Jarczewska-Bomba**

**W**e Wrocławiu poukrywane są skarby. I nie mam na myśli zakopanych słoików i garnków zamurowanych w ścianie, o których krążą sąsiedzkie legendy. Te skarby to secesyjne, ceramiczne kafle w klatkach schodowych kamienic.

Mury są przeważnie szare. Ponad powierzchnię dziurawego od kul tynku wystają zdobienia. Rzeźbione drzwi otwierają się ciężko, a łuszczącą się na nich farbę czuć pod palcami. Od kilku dobrych lat są skutecznie zamknięte domofonem. Latem uchylane przez miesz-

kańców, żeby wpuścić ciepłe powietrze do stuletnich korytarzy. Właśnie w tych szparach można zobaczyć skrawek wnętrza. Stare schody w głębi, posadzkę. A czasem także intensywnie niebieskie lub zielone ozdobne kafle na ścianach.





Wrocławskie kafle, bo tak je określam\* można odnaleźć w najmniej zniszczonych podczas wojny częściach miasta. Ołbin, Huby, Przedmieście Oławskie i oczywiście Nadodrze, czyli tam, gdzie zachowała się oryginalna zabudowa, obfitują w pamiątki po poprzednich mieszkańcach Wrocławia. Co jakiś czas spod farby odsłania się pisane gotykiem 'Schokoladen' czy 'Zigaretten', jest sporo przykamienicz-

nych ogródków, klimatycznych wejść, nad którymi do dzisiaj wisi pełno przedwojennych tabliczek z numerami domów obok ich współczesnych, plastikowych, podświetlanych ledami odpowiedników.

\* Za co ciągle podpadam historykom sztuki, ale odstrasza mnie nazwa okładziny ścienne, a jej łagodniejsza forma 'płytki ścienne' kojarzy mi się z armaturą z marketów budowlanych, więc pozostanę przy swojej ulubionej i najbardziej przystępnej.

Kafel z klatki schodowej na ul. Nowowiejskiej

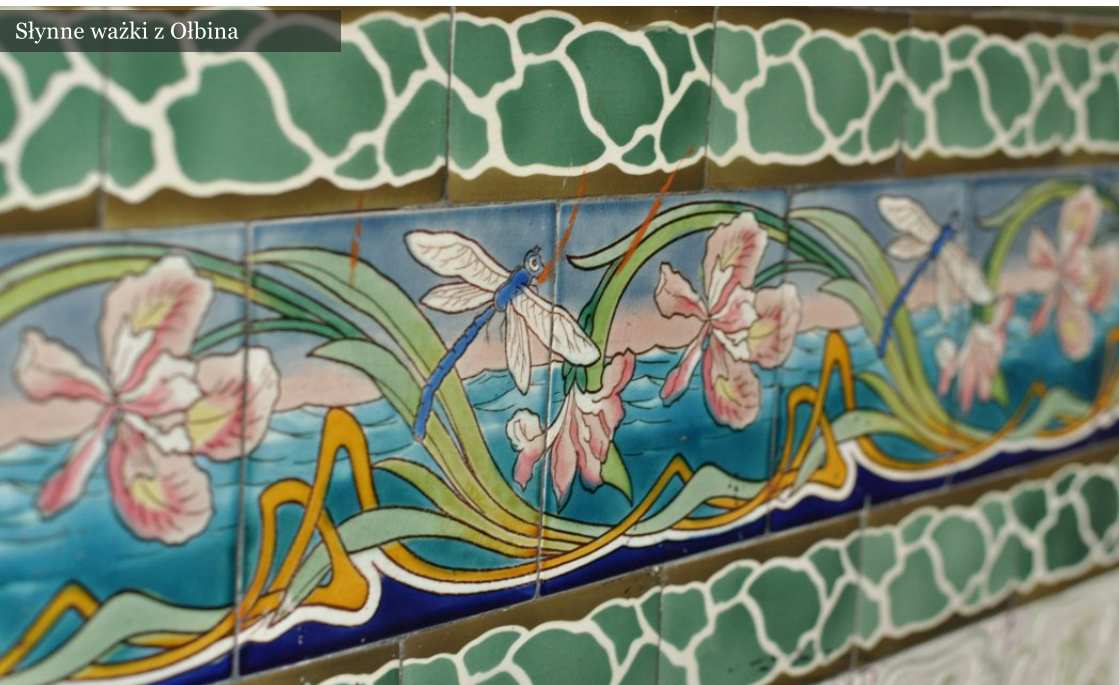




Zaglądną do wnętrza kamienic, przy odrobinie szczęścia można natknąć się na zabytkowe kafle, którymi wyłożone są ściany. Błyszczące, kolorowe, z wymyślnymi wzorami w kształcie wijących się liści, odświętnych girland, szypulek dębu lub kwiatów maku. Bez wątpienia inspirowane hiszpańskimi azulejos, którymi okładano ściany, żeby zachować porządek, ozdobić i dodać trochę magii wejściu, wizy-

tówce domu. Wrocławskie kafle są często niebieskie jak azulejos, ale także czerwone, miedziane, błękitne, zielone, żółte, a nawet różowe. Kontrastują z wypłowiałą farbą i pisanymi po niej markerem wyznaczeniami miłości lub obelgami. W niektórych klatkach schodowych wypełniają prawie całą ścianę, w większości sięgają do jej połowy, gdzieniegdzie do wysokości powyżej kolana zakrywając tylko naj-

Słynne ważki z Olbina





bardziej narażoną na zabrudzenie powierzchnię. Najczęściej towarzyszą im wzorzyste i równie urocze kafłowe posadzki.

Stare wnętrza są trochę jak wehikuł czasu. Mają ten unikalny pierwiastek atmosfery sprzed lat. Kafle umieszczone w nich około 1904 roku (i później) z pewnością przechowują w sobie cząstkę dawnych czasów. Trwały materiał, z którego są wykonane powoduje, że nie blakną, a za konserwację do dziś wystarcza im przetarcie z kurzu. W zamian nadają wnętrzu charakter, autentyczność i duszę. Wejście do takiego starego korytarza ma w sobie coś magicznego. Nawet jeśli odpycha niepewność i poczucie braku komfortu, warto to zrobić choć raz dla samego doświadczenia.

Gdy prowadzę spacer szlakiem kafli po wrocławskim Ołbinie główną emocją, która się wtedy pojawia, jest zdziwienie. Dziwią się 'lokalsi' na widok grupy oglądającej ponemieckie kamienice (wrażenie bezcenne) i 'zwiedzający', gdy w ołbińskich korytarzach dostrzegają

ozdobne secesyjne kafle. Można mijać je codziennie i nie mieć o nich pojęcia, więc gdy nagle otwierają się odpowiednie drzwi, odkrywa się skarb. Najwięcej wypieków na twarzy i pstryknięć migawek wyzwała widok dwóch klatek schodowych, tych z ważkami i pawiem.

'Ważki' to wrocławski klasyk. Na tyle misterny i wzorzysty, że trafił do albumu "Secesja wrocławska" jako przykład kafli (płytek). I słusznie, bo gratką są ręcznie malowane dekory przedstawiające ważkę i różowe irysy na tle jeziora, które podkreślono giętą secesyjną linią. Pod nimi na ścianach znajdują się szkliwione płytki z motywem winogronowych liści, a na podłodze kafle cementowe z geometryczno-roślinnym wzorem.

Dekoracje intensywnie wypełniają przestrzeń, a to jeszcze nie wszystko. W korytarzu zachowały bowiem się ślady po oryginalnych malowidłach ściennych, które ozdabiały resztę powierzchni aż po sufit. Można sobie tylko wyobrazić, jakie wrażenie musiało robić wej-



ście do tak przygotowanej klatki schodowej po letnim, wieczornym spacerze w pobliskim Parku Tołpy.

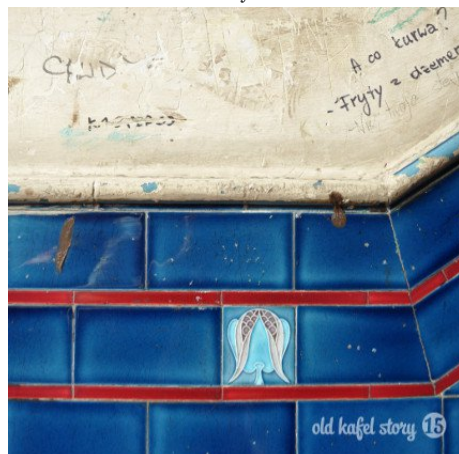
A jednak to paw rządzi na Ołbinie. Ktoś zrobił sobie nawet z tym wzorem tatuaż, a sama mam ręcznie malowany kubek z jego podobizną. Kiedy wchodzi się do korytarza tej skromnej, poszarzałej kamienicy trudno pozbyć się wrażenia, że jesteśmy w znacznie bardziej wytwornym wnętrzu.

Kobaltowe kafle przy wejściu sięgają 2 metrów wysokości. Dumnie spogląda z nich kilkanaście wielobarwnych, malowanych paw. Prezentują swoje bajeczne ogony siedząc na balustradzie, w tle powiewają witki wierzb płaczących lub jasne kwiaty akacji. Dekor zbudowany jest z 6 płytek, co jest rzadkością we Wrocławiu, a kolory szkliska przenikają się tworząc subtelne gradienty. Całość robi wrażenie na tyle silne, że ktokolwiek wejdzie do kamienicy przy Nowowiejskiej, jest pod wrażeniem, wliczając doświadczonych wrocławskich przewodników.

No dobrze, ale skąd właściwie kafle wzięły się we Wrocławiu? Gdzie powstały? Ustalanie pochodzenia kafli jest trochę jak zagłębienie pod spód filiżanki, żeby dowiedzieć się czy to Rosenthal czy Ćmielów. Z tym, że zamiast szukania emblematów (bo te także umieszczano na spodniej stronie płytek, przytwierdzonej tynkiem do ściany) zostaje porównywanie wzorów z przedwojennych kaflarni.

Czasem udaje się znaleźć zdjęcie identycznych kafli z nazwą fabryki, ale zwykle więcej mówi styl i forma wzoru. Dosłownie żeliwna forma, w której wprasowywano

Kafle z klatek schodowych Ołbina



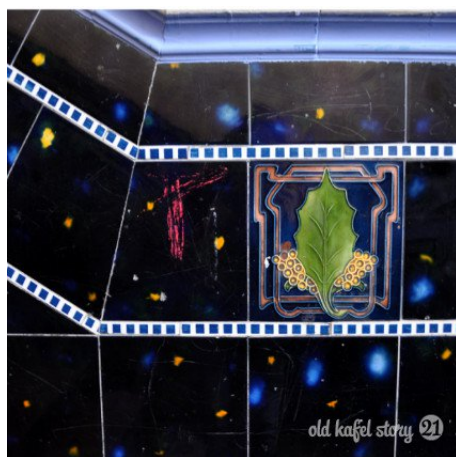


mieszaninę gliny, talku i piasku, by powstał bazowy kafel gotowy do glazurowania. Żeby usprawnić ręczne malowanie stosowano wzory z wyniesionymi krawędziami, a we wklęsłe miejsca między nimi wpuszczano szkliwo.

Taki sposób produkcji charakterystyczny był dla słynnej kaflarni w Miśni, gałęzi firmy, która produkowała znaną porcelanę. Misieńskie kafle we Wrocławiu można spotkać bardzo często i jest duże prawdopodobieństwo, że paw także stamtąd pochodzi. Produkty kaflarni Meißener Ofen- und Porzellanfabrik (vorm. C. Teichert) były

w Breslau tak popularne, bo znajdowała się ona relatywnie blisko (okolice Drezna) i prawdopodobnie były po prostu modne.

Poza tym we wrocławskich klatkach schodowych zachowały się kafle pochodzące z Boizenburga pod Hamburgiem, Wormacji czy Ehrang, położonego przy niemieckiej granicy z Francją. Kafle z tych miejsc różnią się stylem rysunku, na przykład obłymi lub zaostrozonymi kształtami we wzorze, sposobem szkliwienia (pokrywane nim wypukłych lub wklęsłych części) czy w końcu tym, jak bardzo wzór jest szczegółowy bądź uproszczony.





Produkty wspomnianych kaflarni dostępne były na całym obszarze dawnych Niemiec, stąd takie same wzory co we Wrocławiu, jak rozrzucone części tej samej układanki, można znaleźć w Berlinie, Katowicach, Bytomiu czy Poznaniu.

Bywa tak, że kafli w kamienicy brakuje. Świadczą o tym samotne

listwy na ścianach korytarzy, które tkwią nad pustymi lamperiami. Spotkani tam starsi mieszkańcy czasem wspominają, że takie kafle z 'niczyjej' klatki schodowej 'brano' do powstających w mieszkaniach prywatnych łazienek zastępujących te wspólne. Były skuwane, bo ponemieckie, za stare, niemodne. Brzmi to abstrakcyjnie, ale często za

Kafel z klatki schodowej na ul. Prusa





lepszą ochronę korytarza uchodziła lamperia z farby olejnej. Wielka szkoda, lecz takie były nastroje i potrzeba chwili w czasach, których tło wiernie, sprawnie i lekko opisuje Piotr Adamczyk w "Domu tęsknot".

Poza tym przez wiele lat do kamienic mógł wejść kto tylko chciał. Aż do późnych lat dwutysięcznych domofony były głównie niesprawne, co nie ułatwiało zachowania korytarzy w dobrym stanie. Wiele kafli przetrwało jednak do dziś i są nadal praktycznie idealne. Niektóre wymagają wprawdzie czyszczenia, ale markerowi czy farbie w sprayu można skutecznie dać radę, co ostatnio udowadniają mieszkańcy, akcje społeczne miłośników kamienic czy nawet profesjonalne pracownie konserwacji zabytków.

Wrocławskie kafle mają ponad sto lat, ale dalej błyszczą i coraz więcej osób się nimi zachwyca. A jeśli i Was zaciekały, zapraszam do obejrzenia ich na stronie Old kafel story - wrocławskie kafle. Znajdziecie tam nie tylko zdjęcia całej kolekcji kafli z Wrocławia, ale

też przybliżoną mapę miejsc, w których można je odkryć spacerując po ulicach miasta. Wrocław nadal kryje mnóstwo historii i tajemnic. Dawniej można było tu znaleźć poniemieckie skarby. Weki, w których między konfiturą lub kiszczonkami wetknięte były cenne przedmioty, najczęściej pamiątki i zdjęcia. Dziś przy zbliżeniu na detale można zobaczyć coś więcej niż tylko sypiącą się elewację. Można poczuć ducha miasta. Odwiedzić miejsca na co dzień omijane i niedostępne, a za każdym razem zauważyć w nich coś nowego, nieoczywistego. A cuda takie, jak secesyjne kafle kryją się poza utartym szlakiem. Nie trzeba dalekich podróży, można odkryć dla siebie jakiś skarb we własnym mieście, za rogiem własnej ulicy. Warto się zatrzymać i wypatrzeć coś ciekawego tuż obok. [•]

Autorka stworzyła projekt "Old kafel story - wrocławskie kafle", eksploruje Wrocław i odkrywa w nim przedwojenne kafle ceramiczne. Zdjęcia z tych wypraw od 6 lat publikuje na [oldkafelstory.blogspot.com](http://oldkafelstory.blogspot.com). Dolnoślązaczka, kocha Góry Izerskie.



# WODA Z POWODZI NA CZAS SUSZY

tekst **Anna Krasoń**

**W**spółcześnie wciąż zbyt często z namiarem wody „walczy się” za pomocą wałów. Tymczasem wysoką wodę można próbować zagospodarować, pozwalając jej rozlać się w miejscu, gdzie nie wyrządzi ona szkód ludziom. Tak zrobiło Nadleśnictwo Henryków.

W leśnictwie Krzywina odtworzono historyczny kompleks polderów zalewowych. Pierwsi budowniczowie świetnie wykorzystali rzeźbę terenu i stosunkowo niewielkim nakładem pracy potrafili gromadzić ogromne ilości wody, które dziś są trudne do oszacowania.

System jest genialny w swej prostocie, łącząc w sobie dwa ważne aspekty zarządzania wodą: ochronę przed powodzią i nawadnianie za sprawą... suchych zbiorników. Okazuje się, że mechanizm retencyjny wymyślony wiele dziesiątek, a pewnie już i setek lat temu, wciąż





działa! Efektem rekonstrukcji polderów jest przywrócenie okresowych podtopień lasu, co prowadzi do odtworzenia się siedlisk lęgowych.

Wzdłuż ciek (Rowu Rożnowskiego) zlokalizowane są suche zbiorniki. Suche, ponieważ woda zalewa je tylko okresowo. Są to ma-

łe obiekty, o wielkości mniej więcej 30 x 30 m i głębokości do 1,2 m. Do ich napełniania wykorzystuje się efekt naturalnego spadku terenu, a same zbiorniki oddzielone są od siebie małymi, niskimi wałami, położonymi prostopadle do ciek, co ogranicza szybki odpływ wezbranej





wody „w dół”. Wnętrze polderu z tarasami zalewowymi i zbiorniczkami zamknięte jest groblą z przepustem, przez który przepływa ciek.

Kompleks polderów powstał na długo przed utworzeniem nadleśnictwa (większa część znajduje się obecnie poza jego granicami). Widnieje on np. na mapach z 1932 roku, ale niewykluczone, że jest znacznie starszy. Prawdopodobnie założony został przez henrykowskich

cystersów i służył do regulowania poziomu wody, m.in. na cele przeciwpowodziowe i gospodarcze (transport ryb Rowem Rożnowskim ze stawu do stawu).

Szacuje się, że pojemność retencyjna całego obiektu (przy katastrofalnych warunkach, jak podczas powodzi w 1997 roku) to około 1,6 mln m<sup>3</sup> wody! System składa się z wielu powiązanych ze sobą elementów: polderów zalewowych



Grobla między polderami



z suchymi zbiornikami i przelewami, rozdzielających je grobli, urządzeń piętrzących wodę, stawów, rowów i kanałów.

Oryginalny kompleks rozciąga się na powierzchni kilkuset hektarów, jednak obecnie jest podzielony pomiędzy kilku właścicieli i nie pełni już swoich funkcji. Jedną z jego części zarządza nadleśnictwo i ten właśnie fragment został odtworzony (prace objęły ok. 110 ha). Poten-

cjał retencyjny odnowionej części polderów to 0,25 mln m<sup>3</sup>.

Dziś, kilka lat po inwestycji, widać efekty ekologiczne, mimo że od momentu jej ukończenia nadleśnictwo nie musiało borykać się z naprawdę wielką wodą. Teren, na którym położone są poldery, jest płaski, o niewielkich spadkach, z lokalnymi dolinami. W obniżeniach terenu znajdują się bagna, obok łąki i pastwiska. Dominujący



Przelew między polderami



typ siedliska to las wilgotny, pełniący funkcje ochronne. System nawadniania został zrekonstruowany, ale nie na potrzeby hodowli ryb, tylko regeneracji rosnących tu lasów łęgowych. Dzięki przywróceniu podtopień znów pojawiają się tutaj rośliny ściśle powiązane z tymi siedliskami.

W najbliższych latach, w ramach kontynuacji projektu małej retencji, nadleśnictwo będzie od-

twarzać inne elementy dawnego, pocysterskiego kompleksu retencyjnego: dwa zbiorniki wodne, niegdyś stawy hodowlane (a dziś miejsce żerowania mieszkających w okolicy bielików) i zbiornik suchy, spowalniający powierzchniowy odpływ wody po ulewnych opadach deszczu. [•]

Przedruk materiałów za zgodą Lasów Państwowych. Wszystkie zdjęcia z arch. Centrum Koordynacji Projektów Środowiskowych.



Mnich



W Nadleśnictwie Międzyzlesie, w ramach programu retencji, powstał zbiornik suchy – typu szczelinowego. Taka budowla to kilka obiektów na raz: zbiornik retencjonujący nadmiar wody, przepust szczelinowy i przepławka w jednym.

Zbiornik w Nadleśnictwie Międzyzlesie usytuowany jest na potoku, ma jednak charakter otwarty. Co to znaczy? Zachowuje możliwość migracji ryb i innych organizmów wodnych wzdłuż cieku, czyli tzw. ciągłość biologiczną. Przy niskim, „normalnym” stanie, woda nie piętrzy się i swobodnie przez niego przepływa. Kiedy poziom wody podnosi się (roztopy, ulewne deszcze), zaczyna się właściwe piętrzenie szerszą szczeliną i częściowe wypełnienie zbiornika. Przy naprawdę wysokim stanie wody zalewa ona górny poziom najszerszej szczeliny, a w rezultacie następuje maksymalne spiętrzenie i zalanie całego zbiornika. Powoduje to opóźnienie w odpływie wody i spłaszczenie fali powodziorowej.

Zbiornik z Międzyzlesia, podobnie jak poldery zalewowe w Nadleśnictwie Henryków, jest obiektem historycznym, zaadaptowanym przez LP do pełnienia nowych funkcji. Został wybudowany w pierwszej połowie ubiegłego wieku. Pierwotnie służył do spławiania drewna, czyli jego transportu z wyższych partii gór. Choć ta metoda transportu przeszła już do historii, w górach wciąż możemy spotkać pozostałości takich obiektów. [ckpś]





# KORESPONDENCJA Z REGIONU

Jeśli chcesz podzielić się z nami jakąś historią dotyczącą Dolnego Śląska - napisz. Może w Twojej rodzinie żywe są wspomnienia odbudowującego się po wojnie regionu? Może masz jakieś ciekawe materiały związane z Dolnym Śląskiem? A może organizujesz jakieś ciekawe wydarzenie? Wszystko jest ważne, bo współtworzy naszą wspólną historię.



Jelenia Góra, Sobieszów, 2015



Kamienna Góra, 2016

fot. (x2) źródło: Fotopolska.eu/Polska-org.pl



# DZIKA PRZYRODA Z BILETEM MPK

We Wrocławiu i jego najbliższej okolicy jest aż 6 miejsc, które zostały zaliczone do Obszarów Natura 2000. Do każdego z tych miejsc można dotrzeć komunikacją miejską. Wystarczy kilkanaście minut w autobusie lub tramwaju, aby znaleźć się w jednym z miejsc, które eksperci uznali za przyrodniczo cenne nie tylko dla Wrocławia i dla Polski, ale dla całego Starego Kontynentu.

*- We Wrocławiu mamy początek Doliny Widawy zaczynający się Lasem Rędzińskim, są także Grądy Odrzańskie pewnie bardziej kojarzone są z Lasem Strachocińskim, który jest jednym z elementów tego obszaru. Co mamy jeszcze na tej liście? Grądy w Dolinie Odry dostępne od strony Parku Wschodniego.*

*Tam spacerując można się natknąć na „Małą Niagarę” – opowiada kierowca MPK, prywatnie fan wrocławskiej przyrody Zdzisław Wójcik.*

Obszar Natura 2000 we Wrocławiu to cały Las Pilczycki, gdzie dojedziemy np. autobusem C lub tramwajem 32, oraz Łęgi nad Bystrzycą osiągalne spacerem z pętli



Ratyń, gdzie wysiadziemy z autobusu linii nr 117.

Najbardziej tajemniczo brzmi nazwa ostatniego z wrocławskich obszarów Natura2000 – Kumaki Dobrej – by tu dotrzeć, trzeba wysiąść w Ramiszowie, gdzie dociera podmiejski autobus 936. Jak tłumaczy kierowca autobusu MPK - *Naprawdę wystarczy kilka, kilkanaście minut w pojeździe i już jesteśmy niemal w dziczy. Nawet*

*w Lesie Pilezyckim natknąć się można teraz na motyle z Polskiej Czerwonej Księgi Zwierząt, a pod nogami spotkać kumaka i traszkę. No i grzyby – ale to jesienią!*

Z kolei Grądy Odrzańskie to ptasia ostoja. Wsiadamy z tramwaju linii 3 lub 5 na wysokości Parku Wschodniego, idziemy na dłuższy spacer i patrzymy w niebo – pojawi się trzmiełojad, jastrząb, bąk, a na drzewach dzięcioł średni



fot. Wojciech Głodek





i zielonosiwy. Ssaków wrocławianie szukać mogą w Dolinie Widawy spacerując przez Las Rędziński, który jest łatwo osiągalny autobusem 118. Tu czekają sarny, zajęce, borsuki i nietoperze. A w wodzie wydra pływająca w rozlewisku powstałym po zwaleniu drzewa przez bobra. Grądy Dolnej Odry zaczynają się na Wyspie Opatowickiej, w okolicę której łatwo dojedziemy z centrum autobusem 120.

Jak opowiada kierowca MPK szczególnie lubi linie kończące się na pętlach takich jak Rędzin - *Wtedy, po każdym kółku człowiek czuje, jakby co godzinę na kilka minut wylądował na wczasach. Tyle, że zaraz trzeba ruszać w trasę, inaczej niż nasi pasażerowie, którzy często właśnie na spacer po Obszarach Natura 2000 przyjeżdżają miejskim autobusem.*

[materiał MPK Wrocław]



fot. arch. MPK Wrocław



# WIDOKI WARTÉ MILIONY

Szklarska Poręba poprzez budowę 5 tarasów w popularnych punktach widokowych podnosi atrakcyjność turystyczną



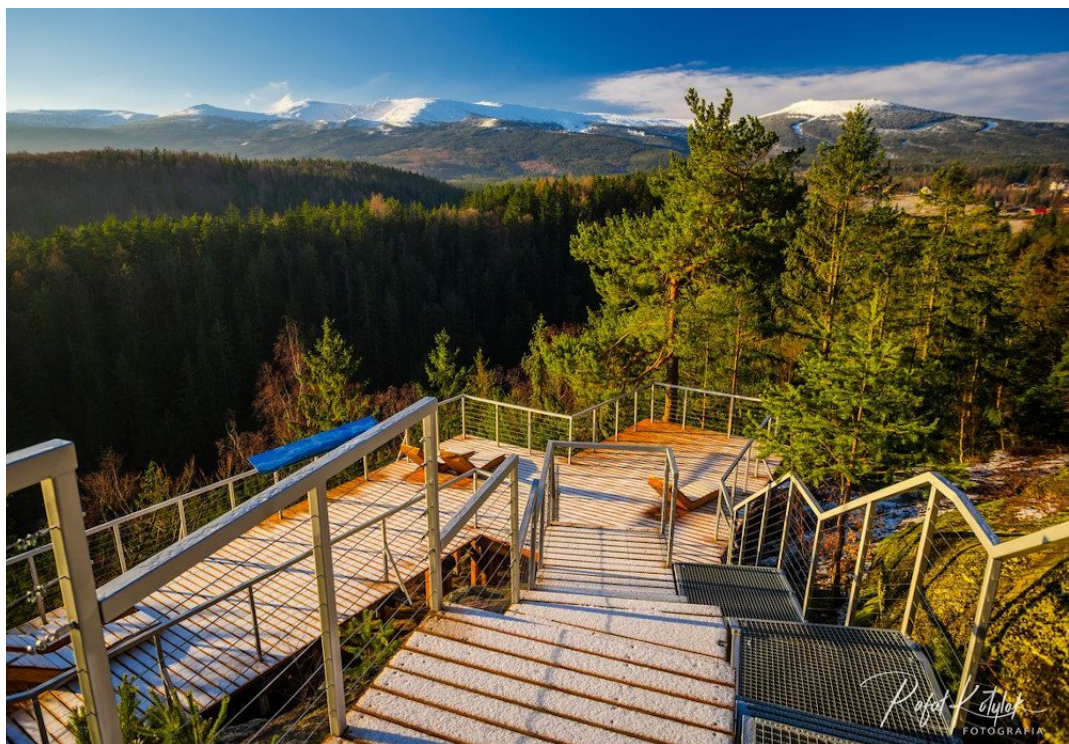
Rafał Kotula  
FOTOGRAFIA



Złoty Widok, Zakręt Śmierci, Zbójeckie Skały, Karczmarz oraz plac przed stacją kolejową Szklarska Poręba Górna od zawsze są chętnie odwiedzanymi przez turystów miejscami. Góry Izerskie, w których te punkty się znajdują, oferują bowiem najlepsze widoki na Karkonosze. Do tej pory jednak miejsca owe nie były odpowiednio zabezpieczone przed nieszczęśli-

wymi wypadkami, ani nie dawały komfortu dłuższego spędzania na nich czasu.

Aby to zmienić Szklarska Poręba wspólnie z czesкими Albrechtami wdraża program "Wieże widokowe, punkty widokowe i trasy turystyczne w przygranicznych górach". Wartość polskiej części to 4 579 000 zł, z czego 4 206 921 zł pokrywa unijne dofinansowanie.





Pierwszym tarasem oddanym turystom do użytku był ten nad Zakrętem Śmierci. Skalki z przepiękną panoramą Karkonoszy począwszy od Szrenicy na Zachodzie, aż po Śnieżkę na wschodzie, to trzy platformy drewniane ułożone na słupkach, z ławeczkami i stylowymi, metalowymi barierkami.

Drugim, oddanym uroczyście, choć w epidemicznym reżimie bez udziału gości, a wyłącznie za pośrednictwem transmisji internetowej, był taras na Złotym Widoku. Ten fantazyjnie uczepony 20-metrowej, skalistej skarpy taras od razu okazał się hitem. Wnet po zluzowaniu pierwszych obostrzeń





sanitarnych odwiedziły go setki turystów. Nic dziwnego — jego wielkość, oferowane widoki, a przede wszystkim urządzenie sprawia, że nie chce się z niego schodzić. Położony na wysokości 585 m n.p.m. tonie w szumie drzew i wody rzeki Kamiennej, płynącej w głębokiej dolinie. Pobliskie inne atrakcje:

Włastimilówka, Wodospad Szklarki i skałka Chybotek czynią zeń popularne miejsce na szlaku wędrówek Górami Izerskimi.

Materiał Referatu Promocji Miasta Szklarska Poręba. Tekst: Arkadiusz Lipin. Budowa platform i wież widokowych współfinansowana jest ze środków Unii Europejskiej w ramach programu IINTERREG V-A Republika Czeska-Polska.



Szklarska Poręba



# BARIERY NA ŚNIEŻCE

W czerwcu na szczycie Śnieżki zostały zamontowane czerwone siatki wygradzające obszar, który jest udostępniany turystom. Montowali je wolontariusze oraz pracownicy KPN i czeskiego KRNPAP.

Siatki mają nie tylko być fizyczną barierą, ale też symbolem tego jak może wyglądać Śnieżka. –

*Goście wydeptują i urządzają pikniki na murawach wysokogórskich, które mamy w piętrze alpejskim*





*jedynie na Śnieżce – mówi Andrzej Raj, dyrektor KPN. – Pomysł montażu siatek wyszedł od naszych partnerów z Czech. Oni też zamontowali dodatkowych 20 ławek na szczycie.*

Śnieżka, jak podkreśla botanik Patrycja Rachwalska, to obszar porośnięty wyjątkową roślinnością, chociażby kwitnącymi w tej chwili sasankami alpejskimi. Takie mura-  
wy nie są odporne na wydeptywanie. Szybko powstają na Śnieżce nowe

obszary pozbawione cennej roślinności. – *Te murawy odrastają dużo wolniej niż trawniki w miastach – dodaje Monika Rusztecka, szefowa działu udostępniania w KPN – to, co na dole odrasta w jeden sezon, tu potrzebuje trzech.*

Siatki pozostaną do końca sezonu letniego. Mają nie tylko oddzielać ludzi od cennych obszarów, ale też być pewnym symbolem. Sam fakt, że trzeba je było zamontować, daje do myślenia. [kpn]





# DOLNOŚLĄSKA BIBLIOTECZKA

Najlepszym towarzyszem aromatycznej kawy jest ciekawa książka. Nikt nie wyobraża sobie dłuższej podróży bez czegoś do czytania. Jeśli już przeczytaliście nasz magazyn i jesteście na bieżąco z naszymi blogami, to tu znajdziecie propozycje - od beletrystyki po prace naukowe - czegoś do poczytania. Wszystko związane z Dolnym Śląskiem.



Buch u. Papierhandlung, Waldenburg, 1930



Buchhandlung F. Hirt, Breslau, 1846

fot. źródło: Fotopolska.eu/BCUwr/BildArchiv Marburg

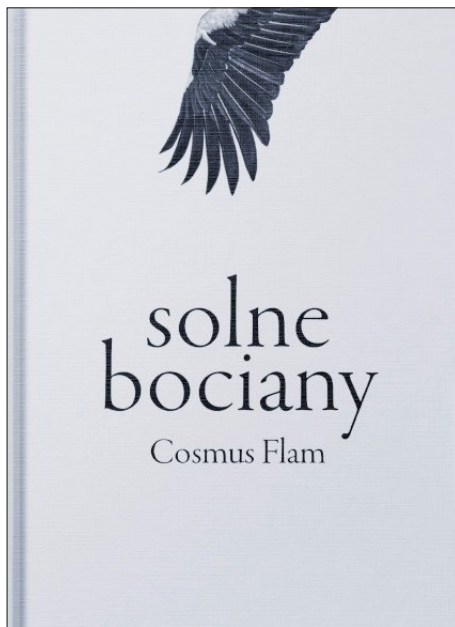




Od czasu do czasu trafia w nasze ręce książka wyjątkowa. Różne są kryteria tej wyjątkowości: piękne wydanie, unikalność fotografii, szczególnie język, niecodzienna treść lub wyjątkowość fabuły. Rzadko jednak jest tak, że wyjątkowy egzemplarz spełnia tych wszystkie te kryteria. Ten jednak, który dzisiaj prezentujemy, takim właśnie jest.

„Solne bociany” Cosmusa Flama, bo o nich mowa, to naprawdę wyjątkowa powieść. Dzieje się w czasach Fryderyka Wielkiego na pograniczu pruskiego Śląska i habsburskich Czech. Niby prosta fabuła, zogniskowana wokół trudności, jakie ma burmistrz próbujący przeszkodzić przemysłnikom soli w uprawianiu ich niecnego procederu, zabiera nas trochę w czasy dawne, trochę – w niebyłe. Bo to ani taka do końca powieść historyczna, ani baśń czy fantazja. Jest tutaj wszystkiego po trochu i... coś jeszcze. Jakaś magia. Obok niej zaś realia izerskiej przyrody i codziennego życia, które od razu każą się domyślać, że autor opisuje miejsca sobie znane.

...



**Cosmus Flam**  
**SOLNE BOCIANY**

Wydawnictwo Wielka Izera 2020  
ISBN: 978-83-953369-3-5  
152 strony, 125x195 mm  
oprawa twarda



Cosmus Flam urodził się bowiem jako Josef Pietsch w dzisiejszych Nadolicach Wielkich w roku 1899. Większą część życia spędził we Wrocławiu, gdzie studiował, pracował i ostatecznie stracił życie podczas oblężenia miasta. Góry Izerskie jednak z pewnością odwiedził. I pozostawił po sobie kilka powieści, które jednak nigdy nie

ukazały się po polsku. „Solne bociany” są pierwsze.

Dzieje się w tej powieści wszystko dość szybko, polecamy czytać więc z rozwagą, niespiesznie. Dzięki temu nie tylko lepiej złapać można fabułę, ale też dłużej cieszyć się wyjątkową lekturą (i rozeznac się w topografii izerskiej krainy). [jk]

---

W wyniku powojennych ustaleń funkcjonująca ponad 100 lat z dużym powodzeniem dolnośląska sieć kolejowa znalazła się w granicach Polski. Polska wyzwolona spod niemieckiej okupacji dostała się pod komunistyczny reżim Związku Radzieckiego. Jedną z decyzji PKWN w 1944 roku była militaryzacja kolei i podporządkowanie jej wojskowym przepisom. Proces ten na Dolnym Śląsku rozpoczyna się od lutego 1945 roku, czyli od przybycia za frontowymi oddziałami Armii Czerwonej pierwszych ekip polskich kolejarzy, a kończy 20 lipca 1949 roku zniesieniem nadzoru wojskowego nad koleją w Polsce.

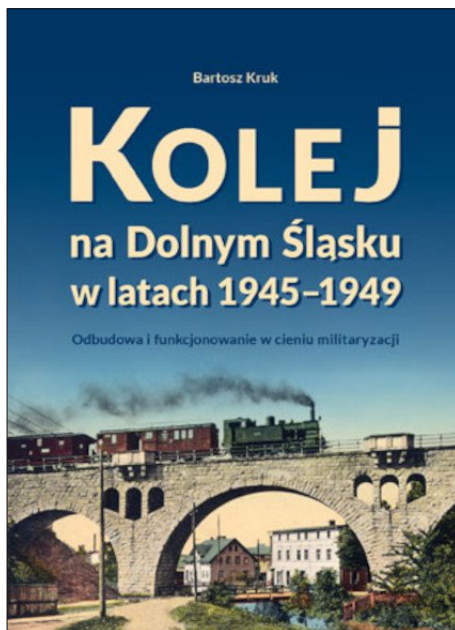
Temu krótkiemu i stosunkowo słabo jeszcze zbadanemu okresowi w historii polskiego powojennego kolejnictwa poświęcona jest książka dr Bartosza Kruka, historyka i archiwisty, specjalizującego się w historii Polski XIX-XX wieku, autora licznych artykułów poświęconych historii kolei. Autor w pięciu rozdziałach przedstawia kolejno powstanie i rozwój kolei na Dolnym Śląsku do końca II wojny światowej, kolej na Dolnym Śląsku w chwili przejęcia jej z rąk niemieckich w 1945 roku, odbudowę i funkcjonowanie kolei w latach 1946-1949, zadania transportu kolejowego na lata 1946-1949 oraz funkcjonowa-



nie struktur dolnośląskiej kolei w ramach powstającego systemu totalitarnego w latach 1945-1949.

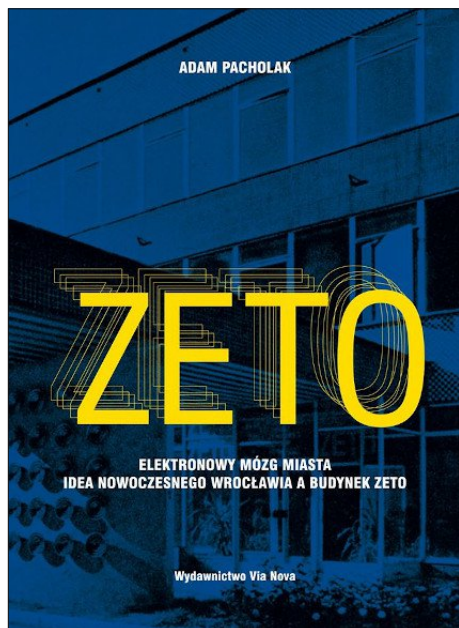
Bartosz Kruk swoją książkę oparł na materiałach źródłowych pochodzących z Archiwum Akt Nowych w Warszawie, Archiwum Państwowego we Wrocławiu oraz wrocławskiego i warszawskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Jak zaznacza, niezwykle cenne okazały się materiały wytworzone przez służbę bezpieczeństwa, zarówno sprawozdania i materiały operacyjne, jak i rozkazy personalne szefów poszczególnych jednostek oraz wewnętrzne materiały statystyczne wytwarzane przez PKP.

Książka ta jest zmodyfikowaną wersją pracy doktorskiej autora obronionej na Uniwersytecie Wrocławskim w Instytucie Historycznym. Jest bogata w przypisy i odniesienia do źródeł. Autor jednak zadbał o to, aby nie była jedynie „suchą” pracą naukową, dzięki czemu stanowi bardzo interesującą lekturę dla każdego miłośnika kolei lub historyka-amatora interesującego się pionierskimi powojennymi czasami na Dolnym Śląsku. [wg]



**Bartosz Kruk**  
**KOLEJ NA DOLNYM ŚLĄSKU**  
**W LATACH 1945-1949.**  
**ODBUDOWA I FUNKCJONOWANIE**  
**W CIENIU MILITARYZACJI**

Wydawnictwo Gajt 2020  
 ISBN: 978-83-66292-04-8  
 256 stron, 165x240 mm  
 oprawa twarda



**Adam Pacholak**  
**ZETO. ELEKTRONOWY MÓZG**  
**MIASTA. IDEA NOWOCZESNEGO**  
**WROCŁAWIA A BUDYNEK ZETO**

Wydawnictwo Via Nova 2019  
ISBN: 978-83-64025-50-1  
255 stron, 165x235 mm  
oprawa miękka

Jest we Wrocławiu wiele budynków pięknych, znaczących lub charakterystycznych. Wśród nich z pewnością znajduje się zlokalizowany przy ul. Ofiar Oświęcimskich budynek Zakładu Elektronicznej Techniki Obliczeniowej. Wygląda na pierwszy rzut oka niepozornie, wręcz nieciekawie na tle pięknej, efektownej zabudowy. Tymczasem w chwili swego powstania był „symbolem nowoczesności – od architektury i urbanistyki (zaprojektowanych przez małżeństwo Annę i Jerzego Tarnawskich), po jego funkcjonowanie i załogę tam pracującą, pod przywództwem Jerzego Trybulskiego” (s. 9).

Budynkowi, samemu ZETO oraz Wrocławowi w czasach, gdy właśnie ten budynek wywoływał zachwyty wśród mieszkańców stolicy Dolnego Śląska, poświęcił książkę Adam Pacholak. Wydana przez Wydawnictwo Via Nova w ramach Wrocławskiego Programu Wydawniczego publikacja jest swoistym hołdem oddanym budynkowi i pracującej w nim załodze.

Autor prowadzi nas przez powojenną historię Wrocławia. Ten specyficzny spacer rozpoczynamy od czasów, gdy miasto podnosili z ruin napływający doń z wszystkich stron Polski nowi mieszkańcy. Przyglądamy

się jego funkcjonowaniu w latach 40. i 50. XX wieku.

Następnie poznajemy Annę i Jerzego Tarnawskich, których dzisiaj kojarzy się z tzw. architekturą high-tech, związaną z najnowszą technologią.

W kolejnym rozdziale znajdujemy historię budynku – kontekstu, w którym funkcjonuje, układu wewnątrz czy wreszcie społecznego odbioru. W dalszej części dowiadujemy się, czemu tak naprawdę służył. Czym był ZETO? Jaka była idea ośrodków obliczeniowych? Czym się tak naprawdę zajmowała ich załoga?

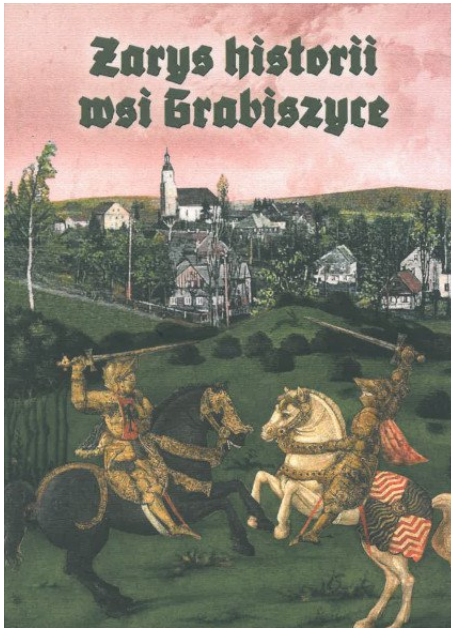
Ostatni rozdział to opowieść o losach ZETO na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci w aspekcie nie tylko przemian politycznych, ale i urbani-

stycznych, a także kulturowych. Na koniec zapytuje nas Autor, czy budynek ma przyszłość. I niestety nie ułatwia nam zadania – ie formułuje jednoznacznej odpowiedzi. Choć być może na to pytanie powinniśmy odpowiedzieć sobie sami.

Uwagze polecamy bogatą literaturę. Czytając publikację, koniecznie na bieżąco zaglądalejcie do przypisów – znajdziecie tam bowiem nie tylko wskazanie źródeł, ale także wiele interesujących informacji doprecyzowujących to, co napisano na poszczególnych stronach publikacji. Nieważne, czy znacie ZETO, czy po raz pierwszy słyszycie o samym zakładzie lub tym wyjątkowym budynku – koniecznie przeczytajcie tę książkę. [jk]

ZETO we Wrocławiu, sala przygotowywania danych dla komputerów  
 źródło: Ignacy Rutkiewicz, *Elektronika nad Odrą*, Wydawnictwo Ossolineum 1971





**Moritz Kauffer**  
tłum. Łukasz Tekiela  
**ZARYS HISTORII WSI  
GRABISZYCE**

Fundacja Dzikie Zachód 2020  
ISBN: 978-83-949778-1-8  
88 stron, 148x210 mm  
oprawa miękka

Moritz Käuffer urodził się w dniu 8 września 1819 roku w Grabiszycach koło Lubania, gdzie jego ojciec był pastorem. Moritz uczył się w gimnazjum w Lubaniu, a potem na uniwersytetach we Wrocławiu i w Lipsku. Po zakończeniu nauki wrócił do Grabiszyc, aby początkowo pracować ze swoim ojcem, jako swego rodzaju „pastor zastępczy”, a po jego śmierci przejąć urząd pastora. Wolne chwile Käuffer poświęcał studiom nad topografią i historią Górnych Łużyc. Zamiłowanie do regionalistyki odziedziczył zapewne po swoim dziadku Christianie Gottlieb, autorze czterotomowej historii Łużyc Górnych.

W 1847 roku pastor Käuffer wydał w oficynie braci Gottholda i Adolfa Heize w Görlitz pięćdziesięcioczęrostronicowy „Zarys historii wsi Grabiszycy w powiecie lubańskim na Łużycach Górnych z krótkim przeglądem najstarszych dziejów kraju jako wprowadzeniem” (Abriss der Geschichte des Dorfes Gerlachsheim im



Laubaner Kreis der Oberlausitz mit einer kurzen einleitenden Uebersicht der ältesten Landesgeschichte).

Nie jest dzisiaj znany nakład tej pozycji, ale nie mógł być duży, bo już w niecałe 90 lat później lubański historyk Paul Plüschke miał problem z jej odnalezieniem. Nie było jej ani w samej wsi, ani w bibliotece Górnołużyckiej Hali Pamięci w Zgorzelcu, ani w księgozbiorze Górnołużyckiego Towarzystwa Nauk.

Ostatecznie Plüschkemu udało się pozyskać egzemplarz od dwóch sędziwych córek nieżyjącego pastora mieszkających w Dreźnie.

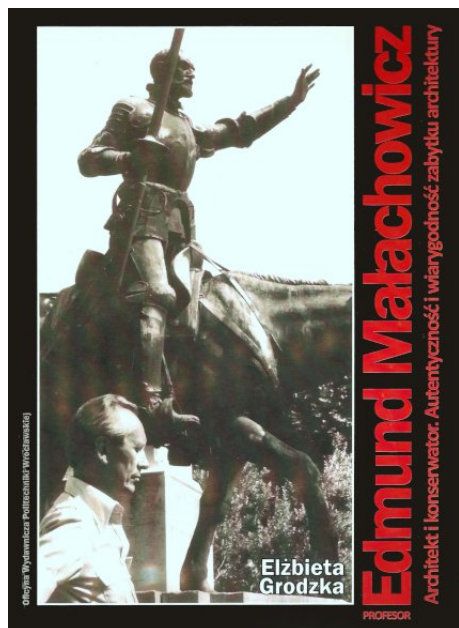
My już takich poszukiwań czynić nie musimy, bo zupełnie niedawno historię Grabiszyc autorstwa Käuffera przełożył na język polski Łukasz Tekiela, a wydała drukiem Fundacja Dzieki Zachód działająca w Grabiszycach Dolnych.

Publikacja podzielona jest na osiem części różnej długości: Wprowadzenie; Historia Grabiszyc (najob-

szerniejszy rozdział zajmujący ponad połowę dzieła); Kościół, parafia i szkoła wiejska; Nauczyciele i kantory; Dominia i ich właściciele; Sędziowie; Historia założenia Mojkowa; Kronika wiejskich osobliwości i nieszczęśliwych wypadków.

Autor tłumaczenia opatrzył publikację przypisami, aby ułatwić lekturę (przez uzupełnienie narracji kronikarza odniesieniami do historii regionu) i objaśnić niektóre użyte terminy, oczywiste i zrozumiałe dla współczesnych pastorowi Czytelników, lecz niekoniecznie dla nas dzisiaj. Publikacja została też uzupełniona o historyczne ryciny, przedwojenne pocztówki oraz współczesne zdjęcia opisywanych przez kronikarza miejsc.

Książka ta jest idealną pozycją dla wszystkich miłośników Górnych Łuzyc oraz przede wszystkim dla tych, którzy chcieliby sięgnąć do dziewiętnastowiecznych tekstów źródłowych, ale barierą jest dla nich niezajomość języka niemieckiego. [wg]



**Elżbieta Grodzka**  
**PROFESOR EDMUND**  
**MAŁACHOWICZ. ARCHITEKT**  
**I KONSERWATOR.**  
**AUTENTYCZNOŚĆ**  
**I WIARYGODNOŚĆ ZABYTKU**  
**ARCHITEKTURY**

Oficyna Wydawnicza Politechniki  
Wrocławskiej 2020  
ISBN: 978-83-7493-115-1  
248 stron, 168x238 mm  
oprawa miękka

„Konserwacja zabytków to znój, co wysusza mózg i duszy w pokoju nie zostawia” – pisał włoski architekt i inżynier Camillo Boito, podkreślając, że zagospodarowywanie obiektów zabytkowych to zawsze sztuka kompromisu, ale i konieczność wyborów. I niezależnie od tego, na co się postawi, „krzyk podniosą pod niebo ci, co woleliby raczej zagładę budynku niż jego częściowe odnowienie, lub też ci, co godzą się na każdą przeróbkę, byle gmach mógł się nadal pysznić przed potomnością. Zaś często, prawie zawsze, krzyczą i jedni i drudzy”.

Jego słowa przytacza Elżbieta Grodzka, autorka książki o profesorze Edmundzie Małachowiczu – zmarłym w 2015 roku wrocławskim architekcie i konserwatorze zabytków, który pomagał podnosić stolicę Dolnego Śląska z powojennych ruin. Że nie było łatwo, przekonamy się niemal od pierwszych stron monografii.

Grodzka opisuje m.in. „kowbojskie czasy” pierwszych dekad po wojnie, gdy los zabytku zależał od szybkości działań konserwatora. Jeśli zdążył dojechać na miejsce, by przebrać rozbiórkę, budynek miał jeszcze szanse na nowe życie. Jeśli nie – no cóż... trudno...





Książka pozwala prześledzić przebieg kariery Małachowicza – wybitnej postaci polskiego konserwatorstwa, a jednocześnie przyjrzeć się Wrocławowi z zupełnie innej perspektywy. Autorka pokazuje projekty profesora – te zrealizowane, jak plany restauracji wrocławskiej katedry czy Muzeum Architektury, i te, które nie doczekały się wcielenia w życie. Dzięki temu czytelnik może puścić wodze fantazji i zastanowić się, jak wyglądałaby dziś stolica Dolnego Śląska, gdyby na Ostrowie Tumskim wyeksponowano relikty Zamku Piastowskiego, a na Wyspie Słodowej powstało Muzeum Etnograficzne z parkiem-skansenem.

Razem z autorką przyglądamy się rozwiązaniom i decyzjom, jakie podejmował Małachowicz, pracując kolejno w: Państwowym Przedsiębiorstwie Pracowni Konserwacji Zabytków we Wrocławiu, Miastoprojekcie, na urzędzie miejskiego konserwatora zabytków i w końcu na Wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej. Grodzka prezentuje idee profesora w sposób zrozumiały (także dla czytelnika nie-architekta) i tłumaczy, na czym polegała ich wyjątkowość, a pokazane w książce projekty i archiwalne zdjęcia sprawiają, że lektura staje się prawdziwą podróżą w przeszłość. [lr]



Basteja bernardyńska po konserwacji (1971, z archiwum rodziny Małachowiczów)

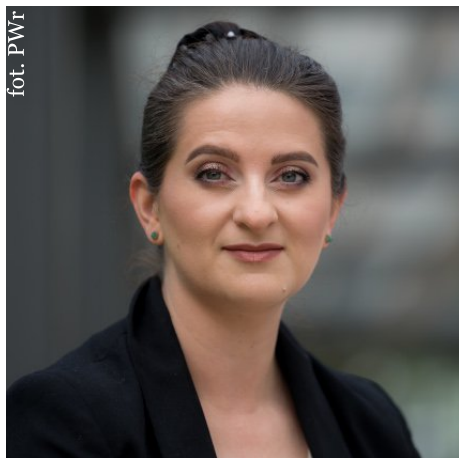


# To on sprawił, że wrocławska katedra ma dziś dwa hełmy

**Z**awdzięczamy mu wygląd wrocławskiej katedry, ocalenie Pałacu Hatzfeldów i średniowiecznego fragmentu miejskich fortyfikacji. W swojej 60-letniej karierze architekta i konserwatora zabytków prof. Edmund Małachowicz opracował ponad 60 projektów architektonicznych, w większości zrealizowanych. O jego pracy i zabytkach, które przywracał do świetności, opowiada książka dr Elżbiety Grodzkiej z Wydziału Architektury PWr.

**Prof. Edmund Małachowicz** (1925-2015) – architekt, konserwator zabytków, miejski konserwator zabytków we Wrocławiu w latach 1965-1972. Autor wielu projektów odbudowy i adaptacji zabytków, m.in.: wrocławskiej katedry i kościołów – NMP na Piasku i św. Klary na pl. Nankiera oraz klasztoru bernardynów (Muzeum Architektury). Przez prawie 60 lat działalności zawodowej stworzył 60 znaczących projektów architektonicznych, z których około 40 udało się zrealizować. Autor ponad 20 monografii naukowych. Absolwent i pracownik naukowy Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej, gdzie kierował zorganizowanym przez siebie Zakładem Konserwacji i Rewaloryzacji Architektury. Laureat Nagrody Honorowej SARP, nagród Ministra Budownictwa, Ministra Kultury i Ministra Edukacji Narodowej. Odznaczony Krzyżem Zasługi i Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski oraz wieloma medalami. W ubiegłym roku na elewacji wrocławskiej katedry odsłonięto tablicę pamiątkową ku jego czci.

**Dr Elżbieta Grodzka** – architekt i pracownik naukowy z Katedry Konserwacji Architektury i Rewaloryzacji Krajobrazu Kulturowego na Wydziale Architektury PWr. Autorka monografii „Profesor Edmund Małachowicz. Architekt i konserwator. Autentyczność i wiarygodność zabytku architektury”, która powstała na podstawie pracy doktorskiej napisanej pod okiem prof. Krystyny Kirschke.



## Z dr Elżbietą Grodzką (na zdjęciu) rozmawiała Lucyna Róg

LR: - *Dlaczego Don Kichot? Na okładkę folderu wystawy podsumowującej jego działalność zawodową prof. Małachowicz wybrał akurat tę postać. Nie swój najlepszy projekt czy zdjęcie zabytku po odbudowie, a bohatera powieści Cervantesa.*

EG: - *Myślę, że bardzo się z nim utożsamiał. Czuł się błędnym rycerzem walczącym z wiatrakami, bo przez cały okres swojej działalności jako konserwator miejski i projektant musiał walczyć o zachowanie dla przyszłych pokoleń dziedzictwa*

architektonicznego. I często spotykał się z niezrozumieniem.

*„To były czasy, gdzie było jeszcze trochę takiej atmosfery kowbojskiej. Kiedy zostałem konserwatorem, w tym samym dniu dostałem telefon, że na dworcu niszczą secesyjne balustrady. Przyjechałem, ale już część była zniszczona. Reszty zabroniłem” – wspomina profesor w pani książce.*

I nie była to niestety jednostkowa sytuacja. Dużą częścią jego pracy – obok badań i projektowania – było uzmysławianie ludziom, dlaczego tych czy tamtych starych murów wyburzać nie należy. Musiał tłumaczyć ich wartość architektoniczną. Pamiętajmy, że to były lata powojenne. Miasto w ruinach, cegieł zawsze brakowało, każda była na wagę złota, a nowi mieszkańcy chcieli się pobycć gruzów i doprowadzić przestrzeń, w której przyszło im żyć, do jako takiego ładu. Do tego wojenne przeżycia nakładające się na stosunek do poniemieckich budynków i brak świadomości o wartości kulturowej niektórych



objektów wśród wielu przesiedleńców – wszystko to sprawiało, że trudno im było pojąć, jaką wartość może mieć ten wypalony budynek czy zdobienia na elewacji innego.

*Albo kawałek średniowiecznych cegieł wystających z ziemi przy placu Dominikańskim.*

Basteja Bernardyńska – czyli fragment najstarszych fortyfikacji Wrocławia – miała to szczęście, że biuro

prof. Małachowicza mieściło się tuż przy miejscu, w którym ją wykopano, w czasie prac ziemnych pod budowę hotelu Panorama. Zdążył więc zainterweniować, zanim komukolwiek przyszło do głowy, by zabrać się za jej rozbiórkę. Gdyby nie jego upór, na pewno tak by się stało. Mury odsłonięto i zakonserwowano, zrekonstruowano też m.in. baszty. Profesor postanowił, wbrew ówczesnym poglądom konserwatorskim,

Pałac Hatzfeldów (1989, z archiwum rodziny Małachowiczów)





nie pozostawić całości bastei w formie trwałej ruiny. Jego zdaniem konieczne były także rekonstrukcje, by basteja mogła się zachować, a poza tym bez takich zabiegów dla przeciętnego obserwatora byłaby tylko mało czytelnym splotem murów. Dzięki tym pracom wrocławianie mieli szansę dostrzec, że oto w centrum miasta mamy najlepiej zachowany relikw obwarowań Wrocławia z przełomu średniowiecza i czasów nowożytnych. Wszystko to sprawiło jednak, że hotel Panorama trzeba było przesunąć o około siedem metrów w stosunku do pierwotnego projektu, a sama budowa się przeciągnęła. Psuło to plany partyjnym władzom, więc profesor musiał szukać dobrego wytłumaczenia dla konieczności pozostawienia murów w tym miejscu. Przekonywał, że rozbiórka fortyfikacji o szerokości przekraczającej w niektórych miejscach ponad dwa metry byłaby droga, czasochłonna i wymagała specjalistycznego sprzętu. To zdecydowało o pozostawieniu w mieście tak znaczącego fragmentu jego historii.

*Nie był to jedyny raz, gdy konieczne było naginanie prawdy czy wręcz uciekanie się do fortelu.*

Jako miejski konserwator profesor posunął się np. do tego, że namówił proboszcza katedry, by ten... zrzucił kilka cegieł z wieży świątyni na chodnik. Wobec tak oczywistego przypadku zagrożenia bezpieczeństwa mieszkańców miasta, konserwator nie miał innego wyjścia niż wydanie nakazu zabezpieczenia terenu, czyli ogrodzenia go. Dzięki temu już bez konieczności pozyskiwania żadnych urzędowych pozwoleń można było postawić rusztowania i kontynuować prace po pierwszej fazie odbudowy katedry. Możliwe więc było ominięcie Wydziału ds. Wyznań, do którego musiał trafiać każdy wniosek dotyczący zabezpieczeń, remontu czy odbudowy obiektów sakralnych. A ta instytucja stale hamowała realizację prac, odmawiając wydania zgody na nie albo ograniczając dotacje.

*Katedra była dla profesora najważniejsza, co podkreśla pani w swojej*



*książce. Poświęcił jej najwięcej czasu i z własnej inicjatywy tworzył dla niej kolejne koncepcje projektowe. Niektóre jego decyzje mogły się wydawać kontrowersyjne – jak usunięcie zegara z elewacji zachodniej czy rozbiórka XVIII-wiecznego szczytu. Nie spotykały się z oporem środowiska konserwatorów i architektów?*

Zarówno w przypadku katedry, jak i przy każdym innym obiekcie, swoją decyzję konserwatorską prof. Małachowicz poprzedzał analizą wartości danego elementu. Przyglądając się poszczególnym fragmentom budynku, dobudowywanym i zmienianym przez wieki, analizował czy ta konkretna „przeróbka” jest tylko czysto użytkowa, czy może sama w sobie także ma wartość, czy wyszła spod rąk świetnych rzemieślników, czy może stworzył ją niekoniernie najlepszy warsztat, co widać w jakości wykonania itd.

Każda decyzja była więc poparta konkretnymi argumentami badawczymi, ale i kompleksowym spojrzeniem na zabytek oraz stawia-

niem sobie pytań: jak ten obiekt będzie odbierany przez przeciętnego człowieka? Jak sprawić, by wartość tego obiektu stała się dla niego czytelna? Wracając do samej katedry – profesor miał misję przywrócenia jej do wyglądu z późnego średniowiecza, tak aby stała się jednolita stylistycznie. Według niego wtedy prezentowała się najlepiej pod względem wartości architektonicznej. Dlatego usuwał XVIII-wieczne „przeróbki”.

*Nie zarzucano mu niszczenia zabytkowej substancji?*

Swoim studentom często powtarzam: jeśli coś jest stare, to jeszcze nie jest wystarczający argument, żeby to zachować. Trzeba wiedzieć, dlaczego coś zasługuje na to, by pozostawić to dla przyszłych pokoleń i inwestować pieniądze w konserwację. XIX-wieczny kurnik nadal jest tylko kurnikiem i o ile nie ma jakichś wyjątkowych wartości architektonicznych – a w przypadku kurnika to raczej wątpliwe – to nie będziemy go przecież zachowy-



wać tylko z takiego powodu, że ma ponad 200 lat. Ten kurnik to oczywiście skrajny przypadek. Chodzi mi jednak o to, że konserwator zabytków zawsze musi zadawać sobie pytanie o wartość architektoniczną. Profesor nigdy nie zdecydowałby o usunięciu fragmentów katedry bez przekonania, że jest to słuszna decyzja, a te fragmenty niczego w tę przestrzeń nie wnoszą – w sensie artystycznym i historycznym.

*To profesorowi katedra zawdzięcza odbudowę swoich hełmów wież zachodnich. Podejrzewam, że wielu młodych wrocławian nie ma świadomości, że przez dziesiątki lat po wojnie ich tam nie było, a projekt ich odbudowy opracowany przez prof. Małachowicza przez kilkanaście lat leżał na półkach w różnych urzędach. Ich brak w krajobrazie miasta przez lata był równie oczywisty, jak ich dzisiejsza obecność.*

Pozwolę sobie na małą dygresję. Tę książkę poleciłabym na pewno każdemu, kto tkwi w przekonaniu, że nasze zabytki z grubsza wyglądały

zawsze tak jak teraz. Często zapominamy, że na przestrzeni wieków w mieście zdarzały się pożary i wojny, a same budynki od czasu do czasu po prostu przechodziły też przebudowy. Zmieniały więc – czasami wielokrotnie – swoją formę i wygląd. Prześledzenie projektów prof. Małachowicza pozwala przy okazji przyjrzeć się wielu fragmentom naszego miasta i temu, jak je przekształcano w kolejnych stuleciach. Co do samych hełmów – ich odbudowa wcale nie była taka oczywista. Profesor opracował projekt w latach 70. i aż do końca lat 80. nie udało mu się nic wskórać w kwestii jego realizacji. To było dla niego bardzo ważne, by zwieńczyć wieże hełmami, bo wynikało z jego założeń ideowych – chęci przywrócenia katedrze gotyckiego wyglądu. Warto zdać sobie sprawę, że odbudowa była wielkim przedsięwzięciem budowlanym. Konieczne było przetransportowanie około 150 ton gruzu kamieniarskiego z rozbiórki koron murów i wyniesienie tam 180 ton materiałów budowlanych. Dla-



tego wewnątrz wieży północnej za-  
instalowano dźwig towarowo-oso-  
bowy. Potem wykonano żelbetowe  
gzymsy i słupki narożne z gniazdami  
na osadzenie balustrady oraz przy-  
gotowano prefabrykowane elementy  
kamienne. Same hełmy zmontowa-  
no na ziemi i podniesiono żura-  
wem, a na koniec uzupełniono  
dekoracyjną kamieniarkę wież. Pra-  
ce zakończyły się w 1991 roku i zde-  
cydowanie były czymś więcej niż  
rekonstrukcją. Historycznie bowiem  
hełm gotycki miała tylko jedna wie-  
ża. Dla profesora osadzenie dwóch  
było jednak kontynuacją średnio-  
wiecznej koncepcji katedry, prze-  
rwanej przed wiekami. Odbudowę  
poprzedziła oczywiście dyskusja  
wśród architektów, historyków sztuki  
i konserwatorów i ustalono, że  
koncepcja prof. Małachowicza jest  
właściwa. Zresztą w całym Wrocławiu  
ostał się tylko jeden autentyczny  
hełm gotycki – na kościele św. Krzy-  
ża na Ostrowie Tumskim, pozostałe  
są rekonstrukcją. Trudno więc, żeby  
te na wieży katedry budziły jakiś  
szczególny sprzeciw.

*Co jeszcze we Wrocławiu zawdzięcza-  
my determinacji profesora?*

Na pewno fakt, że nadal możemy  
oglądać Pałac Hatzfeldów, którego  
projekt odbudowy i adaptacji pro-  
fesor wykonywał trzykrotnie. Naj-  
pierw jeszcze za czasów pracy  
w Państwowym Przedsiębiorstwie  
Pracowni Konserwacji Zabytków,  
gdy pałac miał być siedzibą Biblio-  
teki i Zakładu Narodowego im.  
Ossolińskich. Potem w Biurze Pro-  
jektowo-Badawczym Budownictwa  
Ogólnego Miastoprojekt Wrocław,  
kiedy do pałacu miała się przenieść  
Polska Akademia Nauk. I w końcu  
za czasów pełnienia funkcji miej-  
skiego konserwatora, gdy przygo-  
tował projekt odbudowy i adaptacji  
pozostałości budowli na galerię  
sztuki współczesnej. Małachowicz  
uratował ten obiekt przed całkowitym  
wyburzeniem. I niestety udało  
mu się ocalić już tylko resztki pała-  
cu, który niszczał od 1946 r. Naj-  
pierw runęła jego elewacja  
frontowa, potem na skutek korozji  
i czynników atmosferycznych –  
piętra, bo budynek nie miał dachu.





Korona murów z każdym rokiem stwarzała coraz większe zagrożenie, więc sukcesywnie ją rozbierano. Profesorowi udało się uratować obiekt już w naprawdę ostatniej chwili. Jego zagospodarowanie sfinansował w całości z konserwatorskiego budżetu.

*Dzisiaj taki zakres kompetencji konserwatora może zaskakiwać.*

To były zupełnie inne czasy. Wyobraźmy sobie, że teraz konserwator zabytków przygotowuje projekt adaptacji zabytku, następnie sam go sobie zatwierdza, a potem jeszcze przyznaje finansowanie na tę inwestycję. Od razu zapukałoby do niego CBA! Lata 60. to był jednak ciągle – jak już wspominaliśmy – „okres kowbojski”. Nowa rzeczywistość powojenna dopiero się kształtowała, przepisy także, a na wiele kwestii machano ręką. Oczywiście może nas dzisiaj zastanawiać czy nawet oburzać, że w taki sposób wyglądało funkcjonowanie tego urzędu, faktem jednak jest, że dzięki temu konserwator z misją rato-

wania zabytków mógł szybciej i sprawniej działać. Dlatego profesor mógł uratować Pałac Hatzfeldów. Ten zabytek pewnie nie przetrwałby do dzisiaj, gdyby nie upór profesora i przesiadywanie nad projektami popołudniami, gdy już kończył „czysto konserwatorskie” obowiązki.

Czynnikiem warunkującym przetrwanie zabytku było bowiem często natychmiastowe wykonanie dokumentacji projektowej, znalezienie przyszłego użytkownika obiektu i szybka wycena prac. W PP PZK, czyli Państwowym Przedsiębiorstwie Pracownie Konserwacji Zabytków, ze względu na ograniczoną liczbę pracowników nie zawsze udawało się ukończyć takie prace na czas. Dlatego profesor wielokrotnie po godzinach urzędowania osobiście wykonywał projekty konserwacji i adaptacji.

*Upór kosztował go jednak w końcu stanowisko.*

Walczył o XIV-wieczny klasztor dominikanek przy ul. Św. Katarzy-

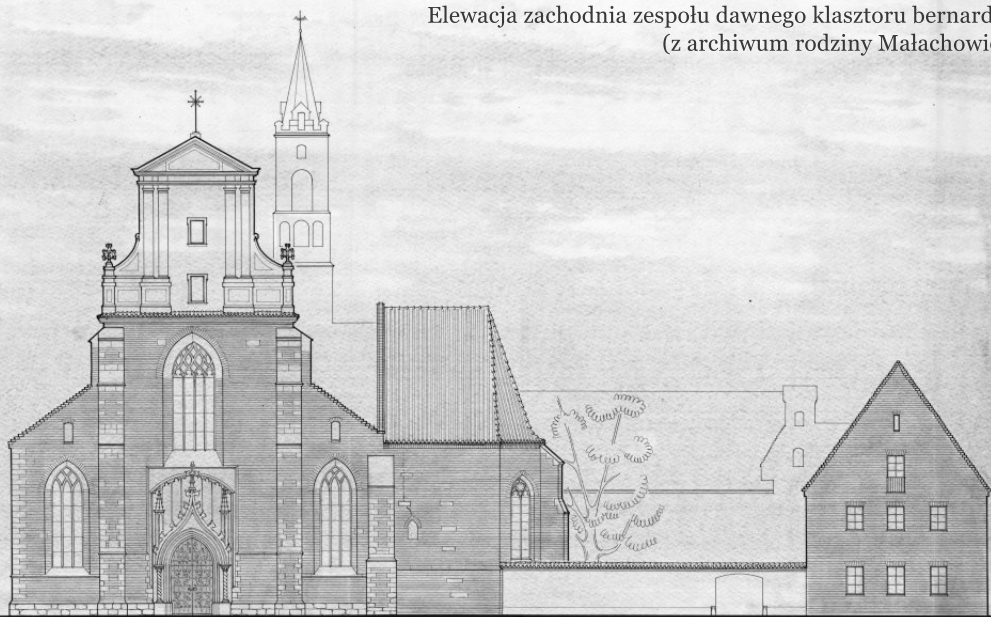


ny, gdzie dzisiaj mieszczą się biura i kluby muzyczne. Po odbudowie i adaptacji miała się tam przenieść Państwowa Szkoła Muzyczna. Przyznano nawet na to pieniądze, ale prace się nie rozpoczęły, a w 1972 roku Rada Narodowa m. Wrocławia zdecydowała o rozbiórce fragmentów muru klasztoru. Prof. Małachowicz dowiedział się o tym od... robotników z przedsiębiorstwa rozbiórkowego, którzy nie chcieli wykonać tego polecenia, bo brakowało im mocy przerobowej.

Profesor od razu zaczął działać. Słał pisma, gdzie tylko się dało i podpadł władzom. Do tego stopnia, że odwołano go ze stanowiska. Na szczęście klasztor tę całą awanturę przetrwał i trzy lata później zaczęto jego odbudowę.

*Projektem profesora, który zrobił na mnie największe wrażenie, był plan odbudowy i adaptacji młynów św. Klary na Wyspie Słodowej na Muzeum Etnograficzne. Trudno sobie dziś wyobrazić, że w samym środku miasta*

Elewacja zachodnia zespołu dawnego klasztoru bernardynów  
(z archiwum rodziny Małachowiczów)





*moglibyśmy mieć rodzaj skansenu z zabytkowymi chatami. To byłoby coś.*

Także w przypadku młynów prof. Małachowicz nie poddawał się i stworzył najpierw jeden projekt, a potem drugi – już jako konserwator. Ten późniejszy zakładał nie tylko odbudowę samych budynków młyna, ale i urządzenie parku etnograficznego na Wyspie Bielarskiej. Profesor chciał umieścić tam drewniane budynki – a konkretnie chałupy przeniesione z Turoszowa, gdzie powstawały kopalnie odkrywkowe – oraz dzieła ludowe, by prezentować je w otoczeniu zielonych terenów rekreacyjnych. Pierwszy młyn miał pełnić funkcje techniczno-gospodarczo-administracyjne, w drugim byłyby sale wystawowe m.in. z eksponatami związanymi z młynarstwem oraz materiałami ikonograficznymi pokazującymi oba młyny i historię młynów na Odrze we Wrocławiu. Dodatkową atrakcją miało być zrekonstruowane koło młyńskie poruszające się w kanale roboczym. Projekt dla tego miejsca zakładał jak największe

zachowanie autentycznych elementów zabytku. Profesorowi zależało na tym, żeby nie stworzyć tam miejsca w oderwaniu od jego otoczenia. Stąd to poszukiwanie nawiązań – drewniane chaty, wykorzystanie wody otaczającej wyspy itd. To wszystko się ze sobą komponowało. Ogromna szkoda, że projektu nie zrealizowano, a same młyny wysadzono w powietrze w 1975 r., co odbiło się szerokim echem w całej Polsce, wzbudzając protesty. Myślę, że gdyby powstał tam skansen zaprojektowany przez profesora, cała okolica rozwinęłaby inne funkcje niż obecnie.

*Pewnie młynów profesor żałował najbardziej spośród wszystkich niezrealizowanych projektów?*

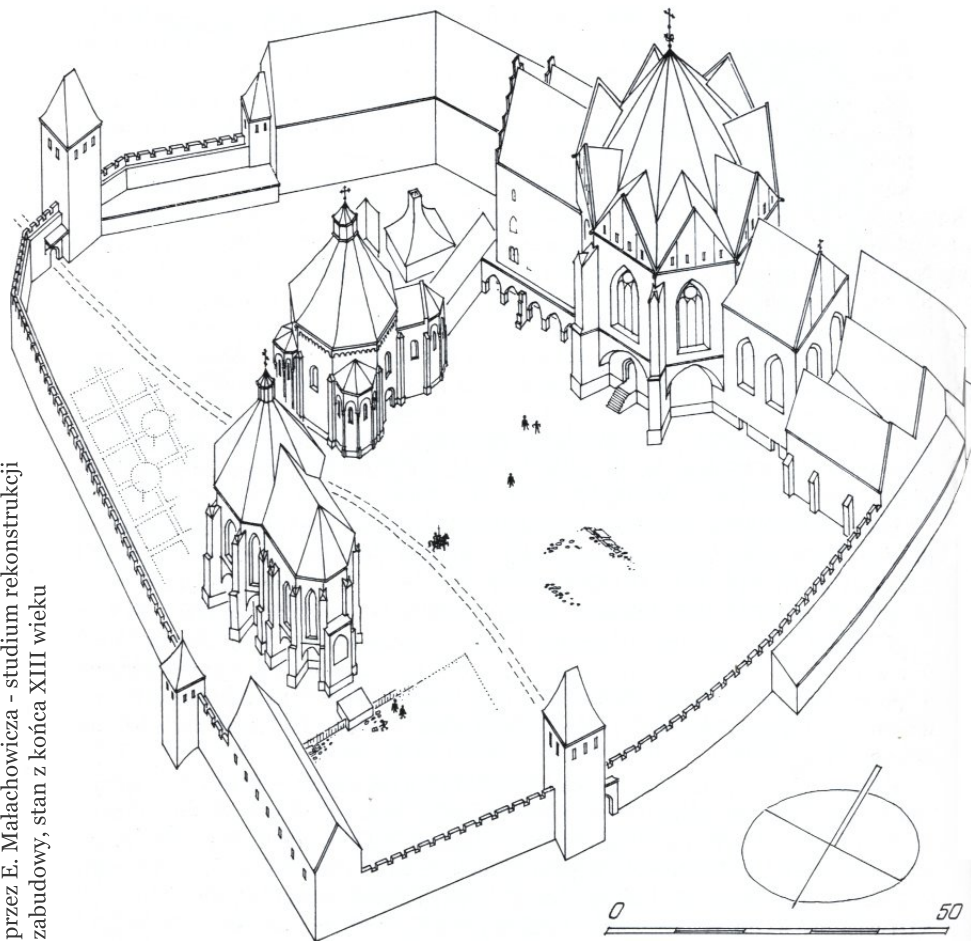
Myślę, że tak, ale być może na równi z Zamkiem Piastowskim na Ostrowie Tumskim, który nazywał „Wawelem Zaginionym”. Zagospodarowanie tego zabytku było jego wielkim marzeniem. To byłaby jedna z większych atrakcji we Wrocławiu. W końcu Ostrów Tum-



ski jest najstarszym ośrodkiem osadniczym w Polsce z relikdami pochodzącymi nawet z VIII wieku. Rekonstrukcja zamku – pokazanie mieszkańcom i turystom, jak to miejsce wyglądało przed wiekami, byłaby bardzo interesująca. Projekt

zagospodarowania terenu zamku opracował pod koniec lat 60. XX wieku, gdy władze postanowiły postawić tam pomnik papieża Jana XXIII i konieczne było przeprowadzenie dodatkowych badań archeologicznych.

Widok aksometryczny Zamku Piastów Śląskich opracowany przez E. Małachowicza - studium rekonstrukcji zabudowy, stan z końca XIII wieku





Zaplanował tam plac o kształcie zbliżonym do zarysu wewnętrznego wału grodu wczesnośredniowiecznego i ekspozycję wszystkich odkrytych wcześniej relikwii, czyli kaplicy św. Marcina z odsłoniętymi resztkami przypór i zakonserwowanych fragmentów murów średniowiecznych. Wzdłuż Odry z kolei bulwar, zakończony schodami i pomnikiem. Część ekspozycji miała być pokazywana w formie podziemnego rezerwatu. Zejście przy kościele św. Marcina miało prowadzić do adaptowanych kaplic podziemnych i relikwii kaplicy późnoromańskiej przykrytej stropem, który dziś stanowi fragment posadzki ulicy św. Marcina. Uzupełnieniem koncepcji miała być kawiarnia na parterze sąsiedniej kamienicy. Projekt niestety znacznie okrojono, ograniczając się do konserwacji murów ochronnych i wykonania bulwaru z pomnikiem. W kolejnych dziesięcioleciach prof. Małachowicz kontynuował badania zamku wspólnie z dr. Czesławem Lasotą, odkrywając kolejne

fragmenty murów i wiele detali architektonicznych. Pod koniec lat 80. razem z Andrzejem Stupakiem przygotował drugą koncepcję zagospodarowania tego terenu. Zaproponowali m.in. rozszerzenie podziemnego rezerwatu archeologicznego i zaprojektowali pawilon osłaniający pozostałości późnoromańskiej kaplicy. Nic z tych planów jednak nie wyszło ze względu na problemy z własnością ziem – teren należy częściowo do miasta, częściowo do kurii i częściowo do klasztoru. Prowadzenie większej inwestycji wymagałoby wywłaszczenia albo wielopoziomowych uzgodnień i porozumień, co byłoby bardzo skomplikowane. Dzisiaj badania zamku prowadzi prof. Małgorzata Chorowska ze swoim zespołem. Profesor miał też inną wizję Bastei Bernardyńskiej. Chciał jej przywrócić funkcję użytkową. Dzisiaj może nam być trudno wyobrazić sobie to miejsce jako mające jakąś większą funkcję, bo ekspozycja bastei jest bardzo zaburzona. Gdy obok stał hotel Panora-

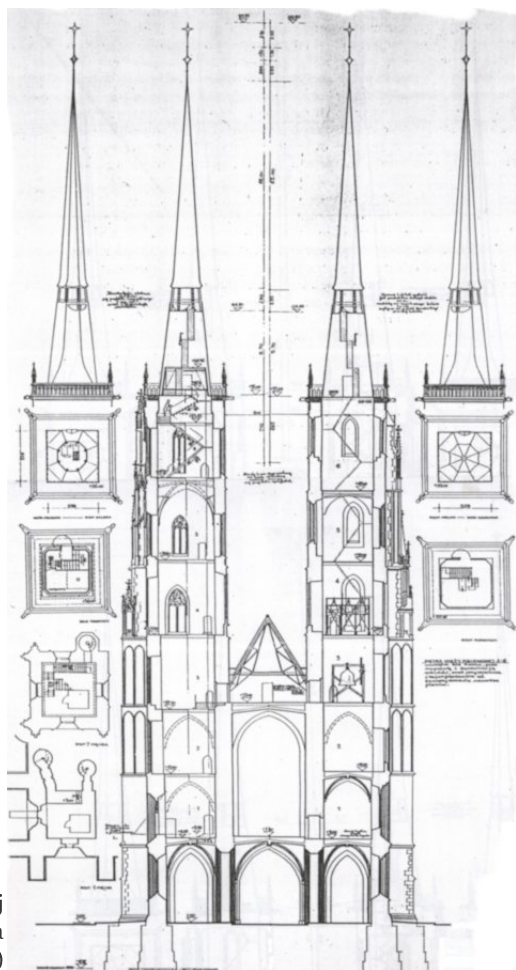


ma, doskonale było widać wszystkie jej wieżyczki. Teraz można je zobaczyć tylko z restauracji w Galerii Dominikańskiej. Studentom trzeciego roku w ramach zajęć proponuję udział w architektonicznej grze miejskiej. Jednym z zadań jest zrobienie sobie selfie przy bastii. Warunkiem koniecznym jest to, że na zdjęciu muszą być widoczne te wieżyczki. Wielu studentów przychodzi do mnie później i przyznaje, że wcześniej nie mieli pojęcia o ich istnieniu. To zadanie ma im pokazać, jak wiele krzywdy zabytkowi może wyrządzić zła decyzja planistyczna.

*Czego od profesora mogliby się nauczyć dzisiejsi studenci planujący zająć się konserwacją zabytków?*

Pokory. Tego, żeby być pewnym swoich racji, ale czuć też pokorę wobec swojej niewie-

dzy, a w związku z tym nieustannego zadawania sobie pytań, sprawdzania i analizowania. I jeszcze indywidualnego podejścia do każdego zabytku, bo każdy jest wyjątkowy. [•]

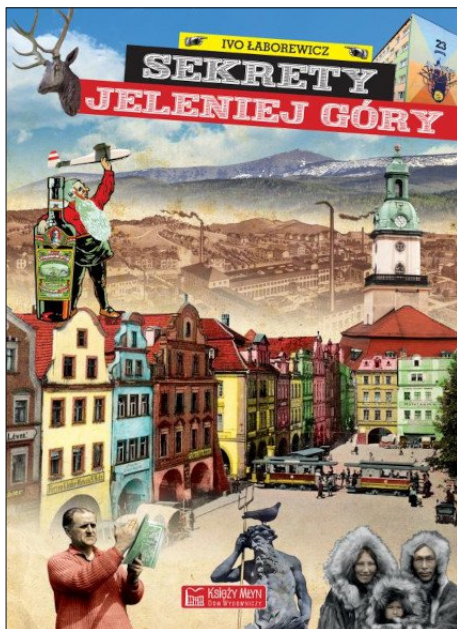


Projekt hełmów katedry wrocławskiej  
autorstwa E. Małachowicza  
(1981, z archiwum rodziny Małachowiczów)



Ivo Łaborewicz miłośnikom Dolnego Śląska przedstawiać nie trzeba, bo niewielu chyba nie zetknęło się z publikacjami Jego autorstwa. Zarówno dla nich, jak i dla wszystkich, którzy z twórczością tego znanego jeleniogórskiego historyka i archiwisty jeszcze nie mieli do czynienia, nie lada gratką będą „Sekrety Jeleniej Góry” wydane w znanej już naszym Czytelnikom serii Wydawnictwa Księży Młyn.

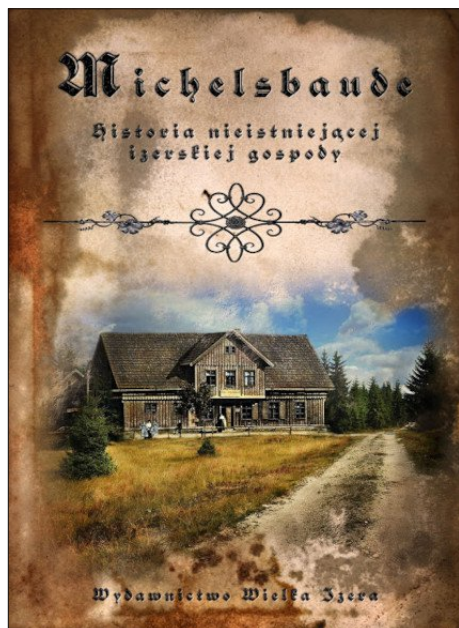
Z właściwą sobie swadą i lekką narracją przedstawia 33 historie: zabawne, smutne, wzruszające i intrygujące. Mamy zatem nierozwiązaną zagadkę kryminalną, czyli wciąż inspirowaną reportażyśców i autorów kryminałów historią życia i śmierci najbardziej znanego sudeckiego przewodnika turystycznego – Tadeusza Stecia. Jest opowieść o zapomnianej archiwistce Eugenii Triller, dzięki której wielu współczesnych badaczy i miłośników regionu ma dostęp do materiałów źródłowych dotyczących historii Dolnego Śląska. Przypomina Łaborewicz katastrofę budowlaną przy ul. Długiej z września 1987 roku, sięga też dalej wstecz, by ukazać pożyteczne skutki powodzi z 1897 roku. Z pewnością zainteresuje Was też rzecz o likierze z cesarskiego stołu oraz dwóch jelenio-



## Ivo Łaborewicz **SEKRETY JELENIĘJ GÓRY**

Księży Młyn Dom Wydawniczy 2019  
ISBN: 978-83-7729-500-7  
144 strony, 165x235 mm  
oprawa twarda

górskich hejnałach. Nie są to z pewnością wszystkie jeleniogórskie sekrety, które zna Ivo łaborewicz – kto wie, może zdradzi je w kolejnej części? [jk]



**Marcin Wawrzyńczak**  
**MICHELSBAUDE. HISTORIA**  
**NIEISTNIEJĄCEJ IZERSKIEJ**  
**GOSPODY**

Wydawnictwo Wielka Izera 2019  
ISBN: 978-83-952293-4-3  
112 stron, 128x176 mm  
oprawa twarda

Czy można dziś jeszcze odkryć zupełnie zapomniane miejsce na Dolnym Śląsku? Udało się to Marcinowi Wawrzyńczakowi, pochodzącemu z Warszawy tłumaczowi języka angielskiego, który ponad dziesięć lat temu zamieszkał w Górach Izerskich.

Przez kilka zbierał informacje o izerskiej Michelsbaude, która działała niedaleko Rozdroża pod Cichą Równią w Wysokim Grzbiecie. Czym była owa „Michałowa Buda”? Leśniczówką, chłopską chatą, gospodą, spelunką? Zapewne wszystkim po trochu. Jedno jest pewne – przez ponad sto lat witała gości podróżujących Starą Drogą Celną ze Szklarskiej Poręby do hut szkła na granicy czeskiej. Wspominali o niej zarówno anonimowi autorzy, jak i tak znani podróżnicy, jak przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych John Quincy Adams, który prawdopodobnie w Michelsbaude kupił doskonały chleb, mleko i masło oraz „niezły” ser.

Wydana w 2019 roku „Michelsbaude. Historia nieistniejącej gospody” to zbiór wzmianek z prasy i literatury, analiz i wyników badań przeprowadzonych w terenie, które umożliwiają nam poznać charakter



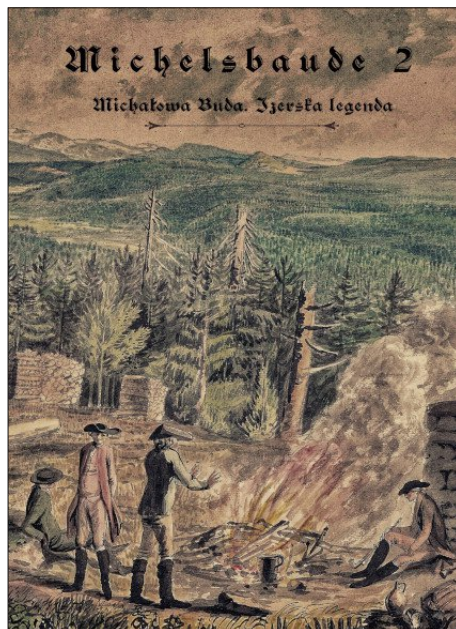


tego miejsca, jego otoczenie, życie codzienne i odwiedzających je gości. Autor stara się ustalić prawdopodobny wygląd gospody, gdyż nie zachował się jej żaden wizerunek, a także prześledzić losy rodzin kolejnych potencjalnych właścicieli tej zapomnianej izerskiej budy.

W tym roku ukazała się kontynuacja izerskiej opowieści „Michałowa Buda. Izerska Legenda”, która rozwija i pogłębia wiele wątków rozpoczętych w części pierwszej.

Autor kontynuował szeroko zakrojoną kwerendę ksiązek i relacji podróżniczych, jednak najwięcej cennego materiału dostarczyło odkrycie akt Michałowej Budy w zasobie Schafgotschów w Archiwum Państwowym we Wrocławiu.

Obydwie pozycje przekazują ogrom wiedzy historycznej. Zgromadzone w nich mapki i ryciny, wyszperany ogrom cytatów i wzmianek budzi wielki szacunek dla tytanicznej wręcz pracy autora. Wszystko czyta się prawie jednym tchem dzięki wartkiej narracji i wielkiej ilości ciekawostek, które sprawiają, że trudno się oderwać od lektury. Ciągle chce się zobaczyć, co jest na następnej stronie. [wg]



**Marcin Wawrzyńczak**  
**MICHELSBAUDE 2.**  
**MICHAŁOWA BUDA. IZERSKA**  
**LEGENDA**

Wydawnictwo Wielka Izera 2020  
 ISBN: 978-83-953369-1-1  
 248 stron, 125x176 mm  
 oprawa twarda



Jakob Boehme to bez wątpienia jeden z bardziej wpływowych mistyków i filozofów religii XVII wieku. Nieposiadający właściwie żadnego wykształcenia szwec ze Zgorzelca stał się jedną z ważniejszych postaci śląskiej kultury.

Łukasz Chwałko, zgorzelczanin od urodzenia, wyreżyserował film opowiadający o Jakobie Boehme – jego życiu, twórczości i jej znaczeniu dla rozwoju filozofii. Film to biografia opowiedziana poprzez dokonania bohatera umieszczone w dziejowym kontekście, określonym przez narastający konflikt światopoglądowy, który doprowadził

ostatecznie do największej wojny religijnej w Europie.

O tych dokonaniach z kolei opowiadają i je komentują: gnostyk, antropozof, pisarz-eseista Jerzy Prokopiuk; historyk literatury, prozaik i eseista prof. Jan Tomkowski oraz badacz niemieckiej myśli filozoficznej i filozoficzno-religijnej prof. Józef Piórczyński.

Film był prezentowany na wielu pokazach w Polsce, Czechach, Niemczech oraz Finlandii. Posiada rekomendacje prof. Andrew Weeksa z uniwersytetu w Illinois, który jest tłumaczem dzieł Boehmego na język angielski





oraz autorem jego biografii. Niedawno film został wydany na DVD w wersji polskiej i z napisami czeskimi. W przygotowaniu jest wersja z napisami w językach: angielskim, niemieckim, rosyjskim, francuskim, hiszpańskim, portugalskim oraz arabskim.

Warto przeznaczyć godzinę na poznanie zarysu rozważań Jakoba Boehme i jej wszechstronnego oddziaływania. Zwłaszcza, że sława tego górnołużyckiego myśliciela dotarła daleko poza granice rodzimego regionu, stąd echa jego myśli odnajdujemy w całej kulturze europejskiej. [jk]

## **JAKUB BÖHME ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ**

reżyseria i scenariusz  
Łukasz Chwałko

zdjęcia  
Sabin Kluszczyński  
Joanna Sobieśniewska

dźwięk  
Jaroslavas Bobrovass





**SZUKASZ SMACZNEGO MIEJSCA?**

**ZNASZ DOBRĄ GASTRONOMIĘ?**

**PRODUKUJESZ PYSZNE JEDZENIE?**

Zapisz i koniecznie odwiedź

## **SMAKI DOLNEGO ŚLĄSKA**

[smakidolnegoslaska.przystanekd.pl](http://smakidolnegoslaska.przystanekd.pl)

[Instagram@smacznydolnyslask](https://www.instagram.com/smacznydolnyslask)

[Facebook@smakidolnegoslaska](https://www.facebook.com/smakidolnegoslaska)